Nr. 151. Lwów — Wtorek dnia 6 Lipca. Rok 189

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „
Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 zł. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 60 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 20 ct.
Oplatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct.
w „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo tłustym petitem po . . . . . 2 „
tłustym garmondem po . . . . . . 3 „
Korespondencye prywatne za każde słowo tłustym petitem po . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . 20 ct. | Nekrologia . . 20 ct.
Ogłoszenia do Przeglądu przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.
Ogłoszenia nad przeglądem politycznym 30 ct. od wiersza.

Dziś: | św. Izajasza Pror. | Rożd. ś. Joana Fewronyi
Jutro: | św. Pulcheryi P.

Adres Redakcyi i Administracyi Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.

Wschód słońca o 4 m. 14
Zachód „ „ 7 „ 54

Długość dnia g. 15 m. 40
Ubyło dnia od wczoraj 2 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 5 lipca.

Dwa nowe tarany budują pruscy politycy, aby nimi bić w polskość — i to jest pierwszy skutek świeżo dokonanej zmiany „kursu“. Widać już odrazu, jakim on będzie dla naszych rodaków w Wielkopolsce. Dotąd byli oni obywatelami drugiego rzędu, teraz będą zapewne wyjęci z pod wszelkiego prawa. Taranem jednym ma być ustawa wyjątkowa o stowarzyszeniach polskich i socyalistycznych, postawionych obok siebie i zupełnie narówni, jak gdyby między niemi naprawdę nie ma żadnej różnicy, podczas gdy w rzeczywistości wszystko ich różni. Drugim taranem jest projekt związku Wszechniemieckiego, powitany z uniesieniem przez całą niemal prasę niemiecką, a polegający na tem, że wszystkie dobra państwowe w czysto niemieckich okolicach Prus będą rozparcelowane i sprzedane chłopom, przez co na pewien czas ustanie między nimi prąd emigracyjny, a za ogromne pieniądze, jakie z tej sprzedaży wpłyną do skarbu państwowego, rząd wykupi wszystką ziemię z rąk polskich i tak całe Poznańskie, całe Prusy Zachodnie odrazu zniemczy.

Przypatrzmy się obu tym taranom, które wedle planu polakożerców mają pracować jednocześnie, tworząc jeden wyłom, jedną ruinę. Więc najpierw spojrzmy na ustawę przeciw stowarzyszeniom. Wiadomo, że ministeryum pruskie przedstawiło izbie deputowanych projekt ustawy, oddającej wszystkie związki pod nieograniczoną niczem samowolę policyi. Prywatnie zapewniali ministrowie, że z prawa tego policya będzie korzystała bardzo oględnie i tylko w stosunku do stowarzyszeń niebezpiecznych dla państwa; dodawali nadto, iż obawy deputowanych są bezpodstawne, bo przecież, jeżeli policya zacznie nadużywać, to sejm może w każdej chwili cofnąć uchwaloną ustawę. Te argumenta nie uspokoiły jednak większości sejmowej. Oprócz junkrów i cesarskich konserwatystów, wszystkie inne stronnictwa, tworzące razem większość, uchyliły w istniejącej ustawie o stowarzyszeniach zakaz łączenia się związków, wprowadziły do niej zakaz udziału w zgromadzeniach politycznych osób nieopełnoletnich i kobiet, a paragraf o przywilejach policyi skreśliły. Tak przerobiona nowela do ustawy o stowarzyszeniach przeszła do izby panów, a tam minister v. d. Recke zażądał restytucyi rządowego projektu, zapewniając, że gdy izba panów dokona tej restytucyi i w skutek tego nowela znowu będzie musiała wrócić do izby deputowanych, to tam już tym razem rząd znajdzie dla siebie większość. To oświadczenie ministra zbiegło się z poufnemi rokowaniami, które rząd prowadził ze stronnictwem narodowo-liberalnem, a zatem ono-to miało przejść do obozu zwolenników samowładzy policyjnej. Publiczność wzburzyła się, liberałów to przeraziło, więc pośpieszyli zerwać rokowania z rządem i w organach swych ogłosili, że jako żywo, nigdy za taką ustawą głosować nie będą. Zdawało się tedy w pierwszej chwili, że ministeryum musi pożegnać się ze swym projektem, lecz zaraz potem spostrzeżono, że to, o co właściwie rządowi chodzi, może być jeszcze uratowane. Wszakże on nie chce ujmować Niemcom praw obywatelskich, zamierza gnębić tylko Polaków i socyalistów, lecz nie mówi tego wyraźnie, aby nie wyglądało, że tworzy wyjątkowe ustawy; proponuje tedy powszechną, ale w praktyce zastosuje ją wyłącznie do owych domniemanych i rzeczywistych wrogów państwa. Po prostu zatem trzeba wyrzec się tej wstydliwości, otwarcie powiedzieć, że chodzi o stworzenie ustawy antipolskiej i antisocyalistycznej, a wtedy liberałowie będą głosowali za rządem i tak znajdzie się większość. Takie wyjście podali w komisyi izby panów baron Zedlitz i von Dziembowski, Niemiec pomimo polskiego nazwiska i hakatysta. Minister von der Recke zaraz na to się zgodził. Tak tedy izba panów odrzuca zarówno pierwotną nowelę rządową, jak i opracowaną przez izbę deputowanych, proponuje zaś trzecią, w której już otwarcie się mówi o ustawie wyjątkowej przeciw dążnościom socyalistycznym i przeciw „agitacyi wielkopolskiej“. Gdzie jest ona i jak się objawia? — na to nie potrzeba prawodawczych określeń; wystarczy przekonanie, że Polacy są „notorycznymi“ wrogami państwa, a zatem zgoła wszystko, co oni robią, a także czego nie robią, jest agitacyą wielkopolską. Ten trzeci projekt zmian w ustawie o stowarzyszeniach wyjdzie z izby panów do izby deputowanych jeszcze w tym miesiącu i może uzyska większość. Liberałowie pewno będą za nim.

Projekt sprzedaży dóbr państwowych w całych Prusach, aby za uzyskane pieniądze wykupić ziemię polską, pojawił się w organie Związku Wszechniemieckiego, lecz zapewniają, że nie jest on pomysłem tych szowinistów, ale konceptem Bismarka, który teraz jak się zdaje znów wraca do zwierzchniczego wpływu na sprawy państwowe. Nie potrzeba zatem stu milionów na komisyę kolonizacyjną; znajdą się miliardy ze sprzedaży dóbr państwowych w Brandenburgii, Hanowerze, na Pomorzu i gdzieindziej, — a za te miliardy można odrazu wykupić od Polaków wszystką ziemię. Jeżeli nie zechcą jej sprzedać, cóż łatwiejszego, jak uchwalić ustawę o przymusowem wywłaszczeniu! Wszak motyw jest gotowy: wymaga tego dobro publiczne, narodowe i państwowe.

Tak — wedle tego projektu — cała Wielkopolska ma się składać z dóbr państwowych. Lecz nie ziemia orna, ani lasy stanowią o tem, do jakiego narodu pewien kraj należy: trzeba z Wielkopolski wyrzucić Polaków, a sprowadzić do niej Niemców — odrazu parę milionów i potem już dowodzić, że to jest odwieczny kraj Germanów. A zatem owe dobra państwowe, podzielone na folwarki, mają być wydzierżawiane tylko Niemcom pod warunkiem kontraktowym, że żaden z tych dzierżawców nie użyje do niczego Polaka, ani go nie najmie, ani mu nie sprzeda, ani żadnej rzeczy nie kupi odeń. Pogańskiej nienawiści bliźniego nie podobna dalej posunąć. Ale tu jeszcze co innego jest godne uwagi. Socyaliści mają być energicznie i bezwzględnie tępieni w Prusach jako wrogowie państwa i społeczeństwa; junkrowie najżarliwiej przemawiają za wojną z nimi aż do skutku; popierają ich liberałowie. A oto równocześnie te dwa stronnictwa w szczerej nienawiści przeciw Polakom zamyślają stworzyć jedną prowincyę, w której nieruchoma własność stałaby się w całości państwową — jak tego wszakże żądają socyaliści, — a dzierżawcy tej własności byliby z góry, kontraktami, obowiązani do wyrzeczenia się swej woli na rzecz woli rządowej — znowu tak, jak żądają socyaliści. Że [illegible] socyalistów, kiedy się ich w niejednem prześcignęło!

Nowy sekretarz stanu dla spraw zagranicznych Rzeszy niemieckiej, p. von Bülow przybył w sobotę do Wiednia i zaraz odwiedził hr. Gołuchowskiego, u którego został na śniadaniu. Oczywiście, ci dwaj ministrowie muszą omówić wszystkie sprawy dwu sprzymierzonych cesarstw. Berlińskie dzienniki zapewniają, że obu tych panów łączy zażyłość z owych czasów, gdy byli posłami w Bukareszcie i w zupełnej zgodzie pracowali nad zbliżeniem Rumunu do trójprzymierza, oraz nad traktatami handlowymi między tem królestwem a monarchiami austro-węgierską i niemiecką.

Konferencye. — Wizyta p. Bülowa.

Piszą nam z Wiednia, 4 lipca:

Szumna zapowiedź konferencyi ugodowych w *Narodnich listach* była przedwczesną. Dotąd bowiem nikt ze strony rządu nie otrzymał formalnego zaproszenia na konferencye. Co najwięcej odbyły się poufne rokowania z niektóremi osobistościami, jak zwłaszcza z ks. Lobkowiczem. Trudno zrozumieć, w jakim celu organ młodoczeski w tak uroczysty sposób zapowiedział walny zjazd czesko-niemiecki, gdy tymczasem sprawa znajduje się dopiero w stadyum przygotowawczem? Z wszystkich odnośnych pogłosek realną jest tylko ta jedna, że dziś w Pradze w pałacu hr. Oswalda Thuna, członka izby panów i właściciela majoratu Kloesterle, odbędzie się konferencya komitetu wykonawczego wiernokonstytucyjnej partyi kurii wielkich posiadłości Czech. Jak wiadomo, w sejmie czeskim na teraz partya ta nie jest wcale reprezentowana, w Izbie poselskiej zaś przez 7 posłów, pomiędzy którymi jednak nie znajduje się żaden z wybitniejszych ludzi. Ze wiernokonstytucyjni wielcy właściciele z Czech i z innych prowincyi potępiają obstrukcyę parlamentarną, nie ulega wątpliwości. Okoliczność, że ogłosili znany protest przeciwko decyzyi prezydyum Izby posłów w sprawie interpretacyi regulaminu, nie znosi owego faktu, można bowiem stanowczo potępiać obstrukcyę, a jednak obstawać przy ścisłem przestrzeganiu regulaminu, dopóki nie zostanie legalną drogą zmieniony. Z tego stanowiska także na tę kwestyę zapatrywał się prezydent Kathrein, który dlatego usunął się od kierownictwa obradami, chociaż niewątpliwie stanowczo potępiał obstrukcyę. Łatwo zatem przewidzieć, że na dzisiejszej konferencyi w Pradze komitet wykonawczy wiernokonstytucyjnej partyi większych posiadłości oświadczy się stanowczo przeciwko obstrukcyi, może także przeciwko wznawiającemu się strejkowi gmin niemieckich względem funkcyi zakresu poruczonego, ale także podniesie konieczność rewizyi względnie złagodzenia rozporządzeń językowych, a zatem implicite wyjdzie gotowość do układów.

Tymczasem dotąd nie podobna ani w obozie młodoczeskim, ani w niemiecko-liberalnym dopatrzeć się oznak, wróżących ewentualnym konferencyom pomyślny skutek. Jeżeli obóz niemiecki upiera się przy prostem cofnięciu rozporządzeń, i odsądza od czci i wiary wszystkich ochotników ugodowych, jak Lippert, Pfersche i Ulbrich, a na odwrót młodoczesi sprzeciwiają się wszelkiej rewizyi rozporządzeń — to wprawdzie nie podobna mówić o ugodzie. O prostem odwołaniu rozporządzeń nie może być mowy. Byłaby to bowiem kapitulacya nie tylko gabinetu dzisiejszego, ale w ogóle władzy państwowej, której zasadniczo niewątpliwie przysługuje prawo stanowienia o kwalifikacyi urzędników. Tego praktykowanego i uznanego dotąd prawa nie można żadną miarą uznać tak *en passant*. Z drugiej strony z owego zasadniczego prawa władzy logicznie także wynika, że może ona wydane w swym własnym, legalnym zakresie działania, stosownie do potrzeby, zmieniać, dopełniać, łagodzić i t. d. Dla tego pod względem formalnym równie fałszywem jest żądanie niemieckie, aby rozporządzenia zostały przedewszystkiem cofnięte, jak twierdzenie młodoczeskie, że nie wolno w nich zmienić ani joty.

Co do merytorycznej strony zawiłej kwestyi, to wprawdzie doskonale rozumiemy, dlaczego Czesi tak natarczywie domagają się dwujęzyczności urzędników w całych Czechach. Ale w celu wszechstronnego wyświetlenia sprawy trzeba odeprzeć najczęściej wysuwany w tym względzie argument, powtarzany ślepo przez pewną, zwłaszcza demokratyczną część prasy polskiej — argument, jakoby owa dwujęzyczność wynikała logicznie z integralności prowincyonalnej i stanowiła jej gwarancyę. Gdyby ten argument był trafnym, natenczas nie istniałaby jedność prowincyonalna Galicyi, bo tam w zachodniej części znajomość drugiego języka krajowego (rusińskiego) nie stanowi nieodzownego warunku dostąpienia urzędu; nie istniałaby integralność historyczna Styryi, bo i tam nie wymaga się od wszystkich urzędników znajomości drugiego języka krajowego (słoweńskiego), lecz tylko od tych, którzy służą w południowej, słoweńskiej, części kraju; i nie istniałaby także jedność Tyrolu, bo i tam nie wszyscy urzędnicy są zobowiązani wykazać się znajomością języka włoskiego, lecz tylko ci, którzy się starają o posady w południowej, włoskiej części kraju. Wszystko to dowodzi, że bez systematycznie przeprowadzonej dwujęzyczności urzędników może istnieć i de facto istnieje integralność prowincyi. Wystarcza, aby rząd, względnie wydział krajowy rozporządzał dostateczną liczbą urzędników, aby w całej prowincyi sprawy stosownie do potrzeb i żądania stron mogły być załatwiane w drugim języku krajowym. Nie mówimy tego ani z całkiem obcego nam uprzedzenia do jednych, a tem mniej z jakiejś słabości do drugich, lecz dlatego, ponieważ pragniemy krytycznej analizy choćby najbardziej utartych i najczęściej puszczanych bezmyślnie w obieg frazesów. Tylko stopniowe wyswobodzenie z więzów tej frazeologii może sprowadzić jasne pojęcie w niezmiernie skomplikowanych sprawach i sporach austryackich.

Stronnictwo niemiecko-narodowe najnowsze zmiany ministeryalne w Berlinie i domniemany powrót do starego kursu bismarkowskiego powitało z zapałem, wmawiając w czytelników (Ostdeutsche Rundschau) względnie w słuchaczy (ostatnia mowa Schönerera), że teraz mogą z pewnością liczyć na pomoc i attrakcyjną siłę „góry magnesowej“, jak w podobnej sytuacyi politycznej w r. 1871 nazwano cesarstwo-niemieckie w sejmie dolnorakuzkim. Wobec tych deklamacyi teutońskich jest to ciekawym faktem, że zastępca a pono desygnowany sukcesor p. Marschalla na urzędzie sekretarza stanu dla spraw zagranicznych, Bülow, otrzymawszy nominacye niezwłocznie wyjechał do Wiednia. Wczoraj p. Bülow był na śniadaniu u hr. Gołuchowskiego w Schoenbrunnie. Obaj dyplomaci sprawowali równocześnie funkcye posłów w Bukareszcie od r. 1888 do 1893, a zatem są starymi znajomymi. Nie przesądzając o przyszłych ewolucyach, w każdym razie śpieszna wizyta p. Bülowa w Wiedniu powinna znacznie zredukować spekulacye niemiecko-unitarne p. Schönerera, Zimmermana etc.

KORESPONDENCYE.

Berlin, 3 lipca.

(:) Okręt pruski wraca do portu, z którego wypłynął rychło po wstąpieniu na tron Wilhelma II, w owej chwili, gdy się zachwiał wszechwładny przedtem Bismark i musiał przyjąć ofiarowaną mu dymisyę. Nieraz potem mówiono, że ten okręt, kierowany osobiście przez króla-sternika, zmienia kierunek, wytyka sobie kurs nowy, potem jeszcze nowszy, a oto okazało się, że on krążył bez busoli już bardzo dawno, bo od chwili ustąpienia Capriviego, aż wreszcie wrócił — do Bismarka! Teraz już dla każdego jest jasnem, że powołanie Hohenlohego było połową zwrotu ku żelaznemu niegdyś kanclerzowi i że dokonane teraz zmiany są tylko uzupełnieniem tego, co się zaczęło z chwilą ustąpienia Capriviego. Gdzie są dumne wyrazy „tak chcę, tak rozkazuję!“ — gdzie orzeczenie cesarskie, że „Bund“ agrarny reprezentuje „lichwę rolniczą“, — gdzie oswiadczenie Wilhelma II, że junkrowie są „Staatsgefährlich“; — gdzie te czasy, kiedy junkrom był zamknięty wstęp do dworu? Wszystko to minęło, zostawiając tylko melancholijne wspomnienie o sobie — i w powietrzu zda się brzmią wyrazy przypisywane Bismarkowi: „król mnie przypomni!“

Śmiano się z tej groźby i śmiano się coraz głośniej wtedy, gdy Bismark robił afronty i gdy zdradzał tajemnice państwowe, jak naprzykład tajemnicę istnienia poufnej konwencyi z Rosyą. A jednak stało się według tej bismarkowskiej przepowiedni — i co tu jest dziwnem: oto król poszedł do bismarkowskiej Kanossy wtedy, gdy pan na Friedrichsruh, zrobiwszy ostatnią plotkę o tem, że go car chciał odwiedzić, lecz Wilhelm II przeszkodził temu, — począł sam tracić nadzieję, aby dożył tryumfu i — zamilkł. Sam Bismark wrócić do steru nie może, bo jest już za stary i niedołężny, ale duch jego wraca, wychowankowie jego obsiadają wszystkie naczelne stanowiska i do niego jeżdżą po inwestyturę, a on błogosławi i przyrzeka im swą łaskę. Hohenlohe jeszcze nie zszedł ze sceny i gdyby nie był dżentlmanem, mógłby na niej pozostać, bo w kierunkach politycznych nie ma między nim a bismarkowską czeredą różnicy; jest ona jednak w formach. Do nich przywiązuje wagę arystokrata, zapisany w Almanachu gotajskim, i on się nie wyrzeknie i dlatego jest rzeczą pewną, że przy pierwszej dobrej sposobności ustąpi.

Od Arnima począwszy, a skończywszy na Bötticherze, obalił Bismark wszystkich swych przeciwników. Geffken, Caprivi, Marschall, hr. Zedlitz poszli i będą zapomniani — niektórzy już są zapomniani — a on ciągle rzucał sobą wielki cień, zjawiał się nieraz jak duch Banka i nareszcie powrócił. Wszakże to znaczy, że i król ugiął się przed nim.

Teraz tylko jedno na wszystkich ustach pytanie: jak długo potrwa ta druga edycya ery bismarkowskiej i co ona nabroi? Trwoga między patryotami wielka, a socyaliści zacierają ręce, powtarzając: „Czem gorzej, tem lepiej!“ Spodziewają się oni, że i państwowa instytucya ubezpieczeń robotników zejdzie na manowce, bo prezydent jej, dzielny Bödiker także podał się do dymisyi, co zapewne jest w związku z powrotem bismarkowstwa.

We wtorek, t. j. dnia 29-go czerwca odbyła się w Wilmersdorfie pod Berlinem konsekracya nowo wzniesionego kościoła katolickiego pod wezwaniem św. Ludwika, poświęconego nieodżałowanej pamięci obrońcy katolicyzmu w Niemczech — zarazem życzliwie usposobionego dla Polaków ś. p. Ludwika Windthorsta. W uroczystości wzięły również udział delegacye polskich stowarzyszeń w Berlinie.

Że brzęk złota większe wrażenie wywiera na niektórych krytyków berlińskich, niż śpiew lub gra artystów, nie było oddawna dla znających stosunki tutejsze tajemnicą. Dopiero jednak przed kilkoma dniami łapownictwo to stwierdzone zostało „urzędowo“. Przed kilkoma tygodniami pianista Liebling obił jednego z krytyków za to, iż ten ostatni, choć wziął podobno datek, to jednak napisał nieprzychylną krytykę o jego grze. Pisząc o tem zajściu korespondent *Frankfurter Zeitung* dr. Alfred Kempner (Kerr) zaznaczył, że ów „bezstronny“ krytyk-łapownik nie jest wyjątkiem w prasie berlińskiej. Z powodu tej uwagi 23 krytyków wystosowało do dr. Kempnera list otwarty z żądaniem, by wymienił tych, co biorą łapówki, w przeciwnym bowiem razie będą go uważali za zwykłego potwarcę. W odpowiedzi na to dr. Kerr ogłosił w *Welt am Montag* i *Frankfurt. Ztg.*, że może w każdej chwili udowodnić, iż brali łapówki od artystów i artystek: znany sprawozdawca z *Das Kleine Jurnal'a* Wilhelm Tapper i Wilhelm Lackowitz z *Berliner Lokalanzeiger'a*.

14)

K. W . . . . l.

POWOŁANIE ZOSI.

(Ciąg dalszy).

— Ach, jak ty to dobrze wymyśliłeś! Biegnę po matkę przełożoną.

— A pozwoli?

— Nie może mnie zatrzymać, jestem jeszcze osobą świecką, panną Zofią Lubiczówną; a gdybym nawet była postulantką, to mi wolno każdej chwili wystąpić, tylko wstyd...

— Mogłaś wstydzić się, jak tu jechaliśmy; ale mniejsza o to. Widzisz mnie tak urodowanego, jak dawno nie byłem. Spiesz się z pakowaniem rzeczy, żebyśmy nie chybili pociągu.

Pobiegła tedy po przełożoną, która przywitała się z Porajem bardzo uprzejmie, a kiedy jej powiedział, że przyjeżdża po Zosię, której obecność koniecznie potrzebna dla interesów prawnych, posmutniała i powiedziała z żalem:

— Ja się tam na interesach prawnych nie znam, ale nikt Zosi nie zmuszał, aby tu przyjeżdżała i poświęciła się stanowi zakonnemu. Pan Bóg ją natchnął powołaniem; a jak z własnej woli tu przyjechała, tak nie wątpię, że z własnej woli powróci, skoro się ukończą te nudne interesa.

— A nawet nie będzie potrzebowała mego zezwolenia, bo musiała przewielebnej matce mówić, że ją upełnoletniłem, i to właśnie jest powodem, że obecność jej jest konieczna do podpisania owego aktu.

Pożegnawszy go, za chwilę przysłała Zosię już ubraną do drogi.

— Dawno już nie nakłamałem tyle, co dziś; ale zresztą to dla ciebie. „Tout est bien, qui finit bien.“ *)

— A jak to dobrze — szepnęła Zosia — że moja wyprawa niegotowa! Jakośby to było żenujące odbierać ją, albo też listownie żądać odesłania.

Skoro się znaleźli poza furtą, Zosia uczuła się tak swobodną, jakby była na polowaniu w szybkim galopie za zającem lub lisem. Szczebiotała bez ustanku, a Poraj, który w parlatoryum klasztoru ukrywał swą uciechę, teraz już wypowiadał ją otwarcie.

— Tak jak byłem rozstrojony, a nawet... szczerze powiem... zły na ciebie, wracając ostatni raz stąd do domu, tak sobie teraz powiadam, że „nie ma nic złego, coby na dobre nie wyszło“. Dobrze się stało, żeś spróbowała zamurować się w tym grobie, boś się przekonała, że to nad twoje siły; a wmówione powołanie, przy którem trwałaś przez upór, prysło jak bańka mydlana.

Kiedy wsiedli do wagonu restauracyjnego, aby zjeść śniadanie, Zosia szczebiotała dalej wesoła i rozpromieniona.

— Ach, co za szkoda, że jadąc do klasztoru, nie przywiozłam amazonki na Zamczysko; takbym chętnie zrobiła konny spacer, kiedy znów jestem na świecie!

— Tem bardziej, że mielibyśmy bardzo przyjemnego towarzysza, którego zastaniemy na Zamczysku.

Zosia zmarszczyła brwi.

— Ktoźto taki? — zapytała.

— Henryk Drogosław.

Zapłoniła się, jak to mówią, po uszy.

— A on wie?

— O czem?

— O tem, że ja pojechałam, aby wstąpić do klasztoru.

— Myślał, żeś pojechała na zwykły „bombans dewocyjny“ — odparł wymijająco.

Drugi raz tego dnia kłamał wierutnie i wyrzucał sobie to w duszy; ale mu żal było dziewczęcia, a obiecywał sobie Drogosława stosownie obrobić.

Kiedy wysiadłszy z pociągu, wyjechali na otwarty step, zawołała z roziskrzonemi oczyma:

— Nigdy, jadąc na święta lub na wakacye, nie czułam się tak swobodną, jak dziś; zdaje mi się, że mam skrzydła u ramion; że nakoniec po długim śnie grobowym przebudziłam się. Dostałeś list mój pierwszy; wiesz z niego, jak ci byłam wdzięczną, żeś mnie odwiózł do klasztoru. Ale jeszcze bardziej ci jestem wdzięczną, żeś zaraz na moje wezwanie przyjechał mnie ztamtąd oswobodzić. A listy moje wysłałeś?

— Wszystkie, z wyjątkiem tego do księżny, bo nie wiem, gdzie jej szukać.

— Ach! biedna Jadwisia, toż to tam musi być płacz i narzekanie na mnie.

— Uspokój się, kiedy poszedłem kupować bilety kolejowe, wstąpiłem do biura telegraficznego i wysłałem depeszę: „Zosia wraca, przywiozę ją temi dniami“.

— Jakiś ty poczciwy, myślisz o wszystkiem.

Na Zamczysku nie zastali Drogosława, który się był wybrał na konną przejażdżkę.

Zosia poszła na górę przebrać się, a Poraj — na ganku paląc cygaro — czatował na powrót Drogosława, który też wkrótce nadjechał.

— Wiesz — zawołał — doskonała klacz, pierwszy raz na niej siedziałem, i skakaliśmy kilka przeszkód; ale jakże się tobie jazda powiodła? Widzę ci po minie, żeś w dobrym humorze.

— Bo Zosia na górze przebiera się i za chwilą zejdzie na obiad.

— Cooo?

— Tak jak ci mówię, wykradłem pannę z klasztoru i przywiozłem tutaj, a czekam na ciebie, aby cię uprzedzić, żebyś się nie przyznał, a nawet ani słówkiem poznać nie dał, że wiedziałeś o tem, że do klasztoru pojechała z zamiarem wstąpienia. Powiedziałem jej, żeś myślałeś, że to zwykła „wizyta“ i niezupełnie skłamałem, bo miałeś to przekonanie, przyjeżdżając tutaj, a o tem, com ci później powiedział, zapomnij.

Za chwilę też zeszła Zosia i przy obiedzie była nadzwyczaj wesoła i swobodna.

Drogosław mówił sobie w duchu, że ładna, ma dobre maniery, sprytna i doskonale rozmawia, i sam się sobie dziwił, że dotąd jakoś nie zwracał na nią uwagi, wiedział tylko że dobrze konno jeździ, bo ją widywał na polowaniach w Krzywinie i na spacerach.

Na żywej gawędzie upłynął cały wieczór, a kiedy się towarzystwo rozchodziło, Zosia raz jeszcze wyraziła żal, że nie przywiozła z sobą amazonki jadąc do klasztoru i nie zostawiła na Zamczysku.

Na drugi dzień czekała ich wszystkich niespodzianka.

Po otrzymaniu depeszy Poraja, Jadwisia tak oblegała prośbami panią Iliniczowę, że ta się jej oprzeć nie potrafiła i wybrały się obie na Zamczysko, gdzie zajechały przed samym obiadem.

Wyskakując z powozu, Jadwisia wykrzyknęła:

— Zosia zmartwychwstała! A ty niepoczciwa! tak wyjechać...

Ale i Zosia i Poraj położyli palce na ustach, dając jej do poznania, aby nie mówiła w obecności Drogosława.

Uściskały się tedy obie siostry, przyczem się nie obeszło i bez łez z jednej i z drugiej strony, a potem z panią Iliniczową wyniosły się na górę.

Kiedy zeszły na obiad, rozradowana Zosia zawołała do Poraja:

— Wiesz, poczciwa, złota Jadwisia pomyślała i o moich przyjemnościach, wyobraź sobie, przywiozła mi amazonkę i całe ubranie na konia; pozwolisz mi wsiąść na którego z twoich po obiedzie?

— Ależ najchętniej.... a nawet, jeśli pani pozwoli — rzekł, zwracając się ukłonem do pani Iliniczowej — będziemy ci towarzyszyli.

Nazajutrz rano znowu spacer konny, podczas którego Drogosław powiedział sobie, że mu się Zosia coraz bardziej podoba i że po tej klasztornej „eskapadzie“ jakaś jest więcej interesująca.

Następnego dnia miała odjechać pani Iliniczowa i zabrać obie panienki, a Poraj zaproponował, żeby Zosia jechała do domu na jednym z jego koni, a obydwaj z Drogosławem będą ją eskortowali.

— Wszak nic nie masz przeciwko temu? — rzekł, zwracając się do niego.

— I owszem, wszak Podgórce nie są mi z drogi, a jeśli pani pozwoli...

— Ależ to doskonały projekt! — odparła Zosia.

Pojechali zatem we troje konno — a pani Iliniczowa z Jadwisią powozem i po kilku godzinach jazdy, znaleźli się w Podgórcach.

(Dokończenie nastąpi).

*) Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

Wskutek tego oświadczenia Lackowitz bezwłocznie musiał wystąpić z redakcyi *Anzeigera*, natomiast redakcya *Das kleine Journal* nie wzięła tej „niedyskrecyi“ dra. Kerra widocznie zbyt do serca i Tapper pozostał nadal jako krytyk w tym dzienniku. Obydwaj jednak dla ratowania „honoru“ wytoczyli przeciw dr. Kerrowi sprawę o potwarz. Nie potrzebuję chyba dodawać, iż sprawa wzbudziła ogromną sensacyę w sferach artystycznych i dziennikarskich. Przebieg jednak procesu był dla skarżących nadzwyczaj niepomyślny, gdyż stwierdzonem zostało przez licznych świadków, że rzeczywiście brali oni łapówki. Lackowitz raz wziął od pianisty Lieblinga 40 marek, jednak nie w formie łapówki, lecz jako zwrot kosztów, powstałych z powodu uczestniczenia w jego koncercie. Co do Tappera, to stwierdzono, że udzielał „lekcyj“ artystom, mającym wystąpić, za które kazał sobie płacić po 50 marek za godzinę.

Z trybunału administracyjnego.

Wiedeń 3 lipca.

Z inicyatywy kasy chorych w Brzesku orzekło Starostwo w Brzesku rezolucyą z 4-go kwietnia 1895 l. 4218, że Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie obowiązane jest do ubezpieczania na wypadek choroby w myśl postanowienia ustawy z 30 marca 1888 nr. 33 dz. p. p. funkcyonaryuszy towarzystwa (ajentów) w obrębie powiatów sądowych: brzeskiego, wojnickiego, radłowskiego, bocheńskiego i wiśnickiego.

Mimo rekursu towarzystwa zatwierdziło galicyjskie namiestnictwo, a następnie ministerstwo spraw wewnętrznych to orzeczenie, a to z powodu, że i na wzajemności oparte towarzystwo ubezpieczeń w myśl postanowienia zawartego w ustępie pod lit. k) art. V patentu ogłaszającego ustawę przemysłową z r. 1859 jako przedsiębiorstwo w sposób przemysłowy wykonywane uważać należy, jakoteż z uwagi na to, że pomienieni funkcyonaryusze ustanowieni są za prowizyą, którą mimo jej zmiennego wymiaru uważać należy jako wynagrodzenie w działalności ajenta, tem samem przeto podpadają oni pod kategoryę tych osób, które po myśli §. 1 ustępu 2 ust. z 30 marca 1888 nr. 33 dz. u. p. mają być ubezpieczone na wypadek choroby.

Od tego orzeczenia ministerstwa spraw wewnętrznych z 13-go marca 1896 l. 5759, wniosło Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie zażalenie do Trybunału administracyjnego, który na odbytej dnia 2 lipca br. publicznej rozprawie pod przewodnictwem prezydenta senatu Eksc. Boehm v. Bawerk po wysłuchaniu zastępcy Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń dra Edmunda Kornfelda, adwokata w Wiedniu i zastępcy ministerstwa sekretarza bar. Winklera w myśl wywodów pierwszego, zaczepione orzeczenie ministerstwa zniósł i orzekł, że ajenci Towarzystwa ubezpieczeń nie są urzędnikami towarzystwa i nie należą zatem do tych osób, które w myśl § 1 ustawy z 30 marca 1888 nr. 33 dz. u. p. mają być ubezpieczone na wypadek choroby.

Nasze targowice miejskie.

Trzeba nareszcie podnieść głos przeciw porządkom handlowym w bazarach miejskich, gdzie się mięso sprzedaje, a głównie w bazarach na placu Bernardyńskim i Krakowskim. Trzeba to uczynić w pierwszym rzędzie w interesie naszych gospodyń, i tak już mocno utrapionych z powodu braku ścisłej kontroli jakości codziennych artykułów spożywczych, dowożonych na targ, jak niemniej z powodu zupełnego zaniedbywania przez magistrat urzędowych ogłoszeń obowiązujących cen wiktuałów, jak to się dzieje we wszystkich bez wyjątku miastach w całem państwie austryackiem i naturalnie za granicą. Wskutek tego zaniedbania drożeją u nas we Lwowie bardzo często i zupełnie dowolnie wszelkie artykuły spożywcze bez najmniejszego racyonalnego powodu. Ale pomijając to wielkie i nie od dziś już trwające złe, zwracamy uwagę na dziwny sposób sprzedawania publiczności mięsa w bazarach miejskich na placach Krakowskim i Bernardyńskim. Sklepiki w tych bazarach bardziej są podobne do klatek dla małych zwierząt lub ptactwa w menażeryach, aniżeli do kupieckiego lokalu; są zaś tak dowcipnie zbudowane, że osoba kupująca wejść do nich nie może, lecz musi — pozostając przed wąskim otworem do sklepiku — wybierać i targować mięso. Inaczej jest już choćby w krakowskich bazarach miejskich, gdzie każdy sklepik jest przez całą swą długość przedzielony ladą, a zatem publiczność może wchodzić do wnętrza sklepiku i tam swobodnie wybierać i targować towar. U nas musi się dziać zupełnie inaczej; bo najpierw o wybór mięsa trudno, skoro go się nie widzi tak dobrze, jakby się chciało, a następnie, gdy się już jako tako wybrało kawał mięsa, zaczyna się manipulacya bardzo oryginalna, nieistniejąca nigdzie na świecie, a będąca specyalnym wynalazkiem lwowskim. Oto wybrane mięso bierze rzeźnik do rąk swoich i udaje się z niem w głąb swego sklepiku (a właściwie wąskiej klatki) i tam przy tylnej ścianie w miejscu zwykle zaciemnionem nawet w dnie pogodne, a prawie zupełnie ciemnem w miesiącach zimowych — w miejsce, do którego naturalnie kupujący przystępu nie ma — i waży towar, zasłoniwszy sobą wagę. Osoba kupująca nie może więc sama przekonać się, jaka jest waga, i musi zupełnie polegać na rzetelności rzeźnika; a jeżeli mu zrobi jaką uwagę, to usłyszy niemiłą odpowiedź.

Nieposądzam panów bazarników o złą wolę, ale zapytuję czy powinien kupujący pozostawać w niepewności co do wagi i na wiarę przyjmować i płacić za wagę, podaną bez najmniejszej kontroli przez samego masarza? Dlaczego oni mają mieć taki przywilej? Dlaczego, jeśli on dobry, nie posiadają go kupcy korzenni i inni? Zaiste, tak nieodpowiednio zbudowane bazary nie przynoszą zaszczytu praktyczności miejskiemu urzędowi budowniczemu! Byłoby lepiej zbudować o połowę mniej bazarów, ale obszerniejszych i należycie oświetlonych, i takich przytem, aby do sklepików miała przystęp kupująca publiczność sami zaś bazarnicy niepotrzebywaliby dusić się razem z mięsiwami w takich ciasnych klatkach i uderzać co chwila głową o gęsto pozawieszane mięso. Może mieć Kraków przyzwoite i obszerne bazary bez uszczerbku dla dochodu miejskiego, to niezawodnie i Lwów stać na tę wygodę połączoną z rzetelnym interesem publiczności.

Tyle o Bazarach naszych na placach Bernardyńskim i Krakowskim. Ale arcydziełem są one w porównaniu z urządzeniem na placu Rybim, gdzie **żydzi niepodzielnie panują.** Przedewszystkiem panuje tam zazwyczaj przerażający krzyk i wrzask sprzedających ryby żydów i żydówek, bo jeżeli niekłócą i niełają się pomiędzy sobą, to wrzeszczą na kupujących, szarpią ich, potrącają tak brutalnie, że każdego ta wrzawa formalnie oszołomić musi i obezwładnia go tak, że zamierzonego kupna należycie wykonać nie jest w stanie; zdaje się, że oszołomienie kupującego jest głównym celem tego ogromnego krzyku. Chociaż nerwowy nie jestem, jednak sam już raz na sobie doświadczyłem tego piekła wrzasków i tej brutalnej natarczywości żydów. Krzykiem ogłuszającym otumaniony, zapłaciłem sam nie wiem jak, dwa razy za kupioną rybę.

Nic więc dziwnego, że tylko rzadko która z naszych pań odważa się osobiście udać na targ rybny po kupno. Do tego dodać trzeba, że wszystkie wagi są odrażająco nieczyste w skutek rdzy przeważnie mocno podziurawione i wcale nieuregulowane. To też dopiero na stanowcze zażądanie jakiegoś śmiałka z publiczności, żyd podczas ważenia zakupionych ryb, reguluje wagę, albo z ziemi podjętemi kamieniami, albo też w zimnej porze kawałkami zmarzłego błota. Naturalny rezultat takiego tarowania wagi pokazuje się dopiero w domu, gdy po ponownem przeważeniu ryby okazuje się jej mniej często o pół kila lub nawet więcej. Do tego oszukaństwa proszę jeszcze dodać dowolne naznaczanie ceny ryb, wyłącznie podług upodobania sprzedających. Ceny zwykle są bardzo wielkie o każdej porze roku, czy to podczas pogody, czy w czasie słoty: (przeszłego miesiąca w jeden piątek żądano za kilo ryb po 90 centów, a zaraz w następny piątek po 1 złr. 60 ct., a nawet po 1 złr. 80 ct.) W obec tak bezprzykładnej dowolności w ustanawianiu cen na ryby we Lwowie zrozumiałe jest, że tylko najzamożniejsza klasa społeczeństwa może sobie pozwolić na zbytek spożywania ryb — mimo, że przecież wszyscy pobliscy właściciele stawów bardzo się użalają na niezmiernie niską cenę, za którą monopolistom handlu rybnego, żydom, są zmuszeni sprzedawać swe produkta stawowe. Zupełny brak jakiejkolwiekbądź kontroli ze strony władzy miejskiej dozwala też żydom publicznie, na Rybim placu sprzedawać wbrew obowiązującej ustawie państwowej mnóstwo narybku karpi, linów i t. p. — rybek, zaledwie wielkości palca. Takie swawolne marnowanie zasobów krajowych widać nikogo nie obchodzi we Lwowie!

Jeżeli te słowa dojdą do wiadomości pana inspektora krajowego gospodarstwa rybnego w Krakowie, sam będzie mógł w każdej chwili sprawdzić nadużycia jakie się dzieją co piątku na placu Rybim, w stołecznem mieście Lwowie. Muszę jeszcze nadmienić, że po każdym deszczu lub śniegu tworzą się na tym placu głębokie bagna, nasiąkłe gnijącemi resztkami tych ryb. Bo ten plac nie jest ani wybrukowany, ani nawet zaopatrzony w jakiekolwiek ścieki. A przecie ten plac powinien być właściwie wyasfaltowany, ponieważ od cieknących ogromnych kadzi z wodą jest zawsze zawilgocony.

Już kilkakrotnie zwracano uwagę dawniejszych panów Prezydentów miasta na te anormalne stosunki targowe w stołecznem mieście, które przecież całej prowincyi przyświecać powinno wzorowym porządkiem i ścisłą policyą targową, chroniącą mieszkańców od dotkliwych ciągłych strat, brudów i chorób Znalazł się nawet przed laty jeden gorliwy członek Towarzystwa ochrony zwierząt, który kilkanaście sztuk narybku karpia prosto z targu rybnego, zaniósł ówczesnemu panu Prezydentowi do biura i tam zdeponował jako żywy corpus-delicti w naczyniu z wodą. Ale skutek tak dosadnego protestu przeciw nadużyciom był niestety nader krótkotrwały. Może więc obecny p. Prezydent który w tak krótkim czasie urzędowania już złożył niejeden dowód energii i troskliwości o dobro publiczne, zechce sprawdzić wszystkie podane tu niewłaściwości, doprowadzone prawie do absurdów i niegodne charakteru stołecznego miasta i może będzie łaskaw radykalnie wykorzynić to złe, o co go upraszamy w imieniu niezamożnych mieszkańców miasta i w interesie ich zdrowia. *F. P.*

Wiec katolicko-ludowy

w Bilce szlacheckiej.

Rozpowszechniło się u wielu w ostatnich czasach mniemanie, że tylko socyaliści i radykałowie potrafią urządzać wiece i lud do nich pociągać. Że tak nie jest, że to i innym ludziom udać się może i dobrze i łatwo, dowodem wiec, świeżo odbyty w Bilce szlacheckiej Urządzeniem jego zajął się komitet miejscowy z włościan przeważnie złożony. Na zaproszenie komitetu przybyło kilka osób ze Lwowa, nauczyciele miejscowi i okoliczni i t. d. — W wielkiej sali szkolnej pięknie, staraniem p. dyrektora Langego przystrojonej w zieleń, wieńce i kwiaty świeże, niemniej jak dokoła budynku szkolnego, zebrało się przeszło pięćset osób z Bilki i gmin okolicznych. Po zagajeniu przez włościanina Adamskiego, zebrani wybrali na przewodniczącego włościanina Sochora, który kilku serdecznemi słowami rozpoczął obrady nad kwestyami, obchodzącemi i bolącemi stan włościański. Jeden z lwowskich kapłanów przemówił następnie o stanowisku ludu wiejskiego w obecnych stosunkach politycznych, o jego potrzebach i prawach, wykazując z jednej strony postęp w uprawnieniu warstw pracujących, z drugiej te braki i nędze, jakie w stosunkach obecnych lud przygniatały, wreszcie zaś drogi, na których do polepszenia warunków bytu i do należytego spełnienia obowiązków obywatelskich włościanie dojść mogą. Te zasadnicze myśli rozwinęli szerzej w swych przemówieniach następni trzej mówcy ze sfer inteligencyi, zaproszeni do zabrania głosu przez kierowników wiecu Jeden z nich przemawiał o potrzebie oświaty i umysłowego podniesienia wiejskiego ludu dlatego, aby mógł sam biedzie swej zaradzić, obowiązki względem rodziny, gminy i kraju spełnić, a bałamucącym i wyzyskującym jego ciemnotę i łatwowierność wichrzycielom się oprzeć. — W tym celu zachęcał gorąco do wspierania szkoły i do zakładania ludowych, uczciwie i rozumnie kierowanych czytelni.

Drugi z mówców zwrócił się do spraw ekonomicznych, do środków podniesienia zarobku i dochodu, do nowych niewyzyskanych środków zbytu. Wskazując na brak samopomocy i ratowania się w potrzebie, jako na jedno ze źródeł złego i nędzy, rozwinął cały program ekonomiczny mający na celu taką samopomoc, zwracając szczególną uwagę na to, co w miejscowych stosunkach, w Bilce i okolicy, najłatwiejszem byłoby do urzeczywistnienia, więc na szkołę rolniczą i koszykarską, na rozwój handlu mlecznego, spółek rolnych, sklepów chrześcijańskich i t. d. Trzeci mowca, znany ludowi dobrze ze swej pożytecznej działalności nauczyciel wędrowny rolnictwa, wskazywał na tamy i przeszkody dla handlu i przemysłu, oraz na środki usunięcia ich. Że zaś rzecz traktował ze stanowiska miejscowych potrzeb i życzeń, rozwinęła się na ten temat żywa dyskusya, żądająca zniesienia rogatki w Podbereżach, wielce dla całej okolicy uciążliwej, naprawy przez wydział krajowy dwóch mostów i osuszenia jednej wielkiej łąki w Bilce. Wreszcie jeden z obecnych włościan Bigas wniósł życzenie uproszczenia procedury sądowej i notaryalnej, które również do rezolucyi dołączono

Obszerna dyskusya rozwinęła się nad wnioskiem włościanina Supeta w sprawie niesłusznego w bardzo wielu wypadkach opodatkowania włościan obok roli zajmujących się rzemiosłem. Jeden z mowców ze Lwowa był w możności fachowo wyjaśnić całą sprawę i wskazawszy na nadużycia, jakich się czasem zbyt gorliwe organa władz skarbowych dopuszczają, pouczył dokładnie i szczegółowo zebranych, w jaki sposób mogą się bronić.

Po wyrażeniu przez włościan zapatrywań w sprawie szkoły rolniczej w Bilce oraz życzenia, aby obecne kierownictwo nauki rolnictwa w powiecie nie uległo zmianie, zreasumowano obrady i przyjęto jednogłośnie rezolucye w myśl tych obrad.

Obok rezolucyj praktycznych i tych które lokalne mają znaczenie, na podniesienie zasługują te, w których zebrani nakreślili niejako program swój, opierając go z jednej strony na niezłomnej obronie praw i potrzeb stanu włościańskiego, z drugiej na wierze ojców, miłości dla ojczyzny i braterskiej dla wszystkich bez różnicy synów tej matki-ziemi ojczystej. Tę miłość zaś zobowiązali się zebrani stwierdzić czynem, odpychając namowy i pokusy wichrzycieli, knujących zdradę przeciw wierze i narodowi a zarazem postanowili dać przekonaniom swym wymowne świadectwo przez założenie dla Bilki i okolicy katolicko-politycznego stowarzyszenia w rodzaju „Jedności“ lwowskiej.

Na zakończenie proboszcz miejscowy ks. Mynarski ciepłemi słowami podziękował przewodniczącemu i gościom lwowskim za ich przemówienia i pracę i zaprosił wszystkich na wieczorne nabożeństwo, podczas którego jeszcze przybyły ze Lwowa kapłan zabrał głos z kazalnicy i już ze stanowiska czysto chrześcijańskiego przedstawił tłumom napełniającym świątynię całą przewrotność nowych zasad, podkopujących Kościół i społeczność.

Głośny płacz ludu i z płaczem powtórzone przez wszystkich obietnice chrztu św. były wymownym dowodem, że wiec nie był daremny i że słowa mówców padły na miękką i dobrą rolę.

W ten sposób bez frazesów i szczucia zwykłego na takich zebraniach, dotknięto tego wszystkiego, co wieśniaka obchodzi i gnębi. W swobodnej wyczerpującej dyskusyi nabrali do siebie wieśniacy i przedstawiciele inteligencyi wzajemnego zaufania, odjeżdżających żegnał tłum serdeczną prośbą o rychły powrót i powtórzenie wiecu, a jak praktycznemi były te obrady, okazało się niezwłocznie. Wskutek bowiem przedstawień zrobionych przez reprezentantów wiecu właściwym władzom, jest nietylko nadzieja, ale wszelka pewność, że wszystkie miejscowe życzenia w najbliższym czasie zostaną spełnione.

Komunikat

dyrekcyi kolejowej w Stanisławowie.

Straszna katastrofa kolejowa między stacyami Kołomyją i Turką w nocy z dnia 26 na 27 czerwca wywołała niebywałe wzburzenie między ludnością kraju, zwłaszcza zaś w obu stolicach. Wzburzenie to łatwem jest do zrozumienia, wszak potrzeba było pewnego czasu, zanim zdołano skonstatować, ile osób i kto zginął; wiele rodzin zatem mogło być w trwodze o los swych najbliższych.

Natomiast mniej zrozumiałem było postępowanie niektórych pism, które nawet otrzymawszy już urzędową listę ofiar wypadku, nietylko w nią wierzyć nie chciały, lecz wręcz posądzały c. k. dyrekcyę kolei państwowej w Stanisławowie o zamiar ukrywania prawdy, a przynajmniej odwlekania wykrycia jej.

Niepodobieństwem byłoby wykazywać po szczególe, rzec można, aż do tendencyjności posuniętą bezpodstawność przeróżnych twierdzeń i wniosków, wysnuwanych przez niekompetentnych korespondentów, przypadkowe lub umyślne przekręcanie faktów: co do złego stanu zerwanego mostu, przeszkadzania ze strony kolei dostępu korespondentom i nieudzielania żadnych wyjaśnień, co do odmówienia rodzinom zabitych ponoszenia kosztów pogrzebu (nawet transport ciał na własnych i obcych kolejach odbył się kosztem skarbu kolejowego), co do złego stanu taboru ratunkowego, zaniechania robót w nocnej porze z powodu braku oświetlenia i t. p., jedynie w imaginacyi powierzchownie patrzących osób istniejących nieporządków.

C. k. Dyrekcya kolei państwowych w Stanisławowie, zarówno jak każda kolej prywatna, stoi pod kontrolą nietylko specyalnych, lecz także władz politycznych i sądowych, a oczekuje ona rezultatu ścisłych dochodzeń, jakie te władze wdrożyły, z tym spokojem jaki daje poczucie, iż wobec niedającej się przewidzieć i jedynie przez siłę żywiołów (*force majeure*) spowodowanej katastrofy, spełniła sumiennie swój obowiązek.

Wzgląd na ogół publiczności, która czytając tak niezgodne z prawdą doniesienia, może się seryo niepokoić, czy ma wogóle życie swe i mienie powierzać kolejom państwowym, powoduje podpisaną c. k. Dyrekcyę tychże kolei do tego zaprzeczenia rozsiewanym pogłoskom

Toczące się śledztwo zarówno administracyjne, jak polityczno-sądowe nie dozwala na wejście w bliższe szczegóły, tłumaczące wypadek, taki opis bowiem mógłby właśnie być ocenianym jako stronniczy i mający na oku wpływanie przez pośrednictwo opinii publicznej na rzeczoznawców i władze.

C. k. dyrekcya liczy jednak na tę względność, do której ma prawo nawet każdy dotąd nieposzlakowany obywatel, a cóż dopiero urząd państwowy, żeby mu bezpodstawnie nie insynuowano czegoś niepopełnionego i wyraża nadzieję, że szan. Redakcya nie zechce łamów swego pisma uczynić przystępnymi nieprawdziwym wieściom, przyczyniającym się do niepokojenia opinii publicznej.

Nie omieszka Dyrekcya uwiadomić szan. Redakcyi o dalszym przebiegu poszukiwań i robót koło usunięcia przeszkody ruchu, nadmieniając przytem, że jeżeli w dotychczasowych zawiadomieniach nastąpiło spóźnienie, to brać je należy na karb tego, że wszystkie urzędy telegraficzne, pomimo natychmiastowego wzmocnienia sił nie były w stanie podołać nawałowi depesz nadchodzących i wysyłanych na wszystkie strony nietylko monarchii, lecz Europy, jako też i na karb tego, że c. k. dyrekcya o tyle tylko mogła udzielać wiadomości, o ile prawdziwość ich była niewątpliwie stwierdzoną.

Do tej chwili, pomimo że przez wykopanie rowów i pogłębienie koryta strumyczka Kosaczówki obniżono poziom zwierciadła wody o 4 metry, wynosi głębokość tejże w powstałem zagłębieniu od 4—7 metrów i dotąd ciała palacza Kreyczego nie zdołano odnaleść. W ciągu dnia jutrzejszego dokonanem będzie odwrócenie koryta strumyka, a do dwóch dni można się spodziewać zupełnego osuszenia przypadkowego zbiornika wody, poczem będzie można stwierdzić, czy ciało nieszczęśliwej ofiary znajduje się pod gruzami lokomotywy, czy też przypadkiem nie przykryte naniesioną ziemią i kamieniami zawalonego mostu.

Ciała kobiety niewiadomego nazwiska ze Stanisławowa, jaka miała również zaginąć, nie tylko nie odnaleziono, lecz nie ulega wątpliwości, iż taka nie istniała wcale, że zatem liczba ofiar, tak, jak poprzednio podano, wynosi 9 osób.

Stanisławów dnia 2 lipca 1897 r.

C. k. dyrekcya kolei państwowych.

Z izby sądowej.

Rzeszów 3 lipca.

(*Proces Szajera.*)

Trybunał rzeszowski po przeprowadzonej rozprawie, uznał posła Tomasza Szajera winnym zbrodni obrazy Majestatu i członków rodziny cesarskiej z §§ 63 i 64 u. k. tudzież przekroczenia z §§ 491 i 492 u. k. (lżenie władz i funkcyonaryuszy państwowych) i skazał go za to na 8 miesięcy ciężkiego więzienia, obostrzonego postem co 14 dni. Zasądzony zgłosił odwołanie przeciw wyrokowi. Jeżeli odwołanie to nie odniesie skutku i wyrok stanie się prawomocnym, w takim razie utraci Szajer mandat poselski i przez pięć lat po odcierpieniu kary nie będzie wybieralny.

Mały Fejleton.

Wycieczka zimowa do wodospadów Imatry.

Pan Maryan Lutosławski tak opisuje w *Kuryerze codziennym* wycieczkę swą do wodospadów Imatry: „Stale zwiększająca się liczba osób zwiedzających wodospady Imatry bardzo dodatnio wpłynęła na udoskonalenie środków komunikacyi i udogodnień uprzystępniających tę prześliczną wycieczkę szerszym kołom turystów.

W lecie istnieją najrozmaitsze połączenia statkiem, koleją i końmi: jedzie się morzem lub koleją do Wyborga, a stąd dalej koleją lub statkiem po kanale Sajmeńskim do Wilmanstrand, miasteczka położonego nad jeziorem Sajma, po którem kursują parowce łączące Wilmanstrand z Wuokseniska w pobliżu Imatry. Można też dojechać kanałem do Rettijarwi, a stąd końmi do Imatry; od r. 1893 istnieje wreszcie bezpośrednia komunikacya kolejowa między Petersburgiem a Imatrą przez Wyborg, Antrea do Wuokseniska: 201 kilometrów w ciągu 6 godz. 51 m.

Droga ta w lecie mniej uczęszczana, zimą stanowi jedyną możliwą komunikacyę i coraz więcej osób odbywa tę wycieczkę, a znalazłoby się napewno więcej amatorów, gdyby było powszechniej wiadomo, jak piękną jest Imatra w jasny dzień zimowy.

Już na finlandzkim dworcu kolei żelaznej w Petersburgu można stwierdzić, że postęp w Finlandyi szybko toruje sobie drogę. W osobnej kasie sprzedają najrozmaitsze bilety: zwyczajne, powrotne, okręgowe, kombinowane; prócz tego opisy, fotografie, reklamy dotyczące Imatry. Pociąg składają wagony starego typu, ale doskonale oświetlone: uderza w nich szczególniej wielka czystość, świadcząca nietylko o dbałości zarządów, ale także głównie o rozwiniętem w publiczności poszanowaniu cudzej własności.

Prawie całą drogę jedzie się lasami, ciągle tępionemi i wiecznie odrastającemi; na całej przestrzeni między Petersburgiem a Imatrą starodrzewia nie widać zupełnie; natomiast gęste młode lasy świerkowe i sosnowe, gdzieniegdzie graby i brzozy okalają drogę po obu stronach, rosnąc z początku na równinie zupełnej; dopiero za Wyborgiem krajobraz staje się dzikszym; olbrzymie głazy piętrzą się jedne na drugich, skały z białemi czapkami śniegu pokrywają płaszczyznę, nie tworząc zbyt wielkich wzniesień; z pomiędzy nich wyrastają drzewa. Widać miejscami obszerne wyręby i nieprzejrzane szeregi krótko porzniętych sążni, których transport za transportem spotyka się po drodze na towarowych platformach, wysyłanych do Petersburga i Helsingforsu.

Przed samą stacyą Antrea pociąg po olbrzymim wiadukcie i moście przechodzi przez szeroki Wuoksen; jest to odpływ jeziora Sajma do Ładogi, jeziora położonego o 60 metrów niżej Ta właśnie różnica poziomu daje powód do tworzenia się całego szeregu wodospadów, z których największym jest Imatra. Z mostu pod Antrea rozległy widok na rzekę niezupełnie zamarzniętą; w środku lekko pokarbowana powierzchnia ciemnogranatowego koloru nadzwyczaj silnie odbija od iskrzącego się śniegiem wybrzeża, które sztucznemi konturami załamanego lodu w ostrych liniach odcina się od ciemnego tła wody; jest to widok tak nieoczekiwany i tak piękny, że wszyscy w wagonie cisną się do okien. Jeszcze parę przystanków i pociąg zatrzymuje się na stacyi Imatra.

Od dworca kolei do wodospadów pół wiorsty drogi; zdaleka już słychać szum potoku, a po przez drzewa na prawo widać ciemną wstęgę rzeki, płynącej szybko, lecz równo szerokiem korytem; nagle, skręt drogi na prawo i wchodzi się na most lekkiej konstrukcyi żelaznej, śmiało rzucony w tem miejscu, gdzie rzeka w nagle zwężonem łożysku kłębić się i pienić zaczyna. Imatra nie jest wodospadem w zwykłem znaczeniu tego słowa i dla tego nie da się porównać ani z Reńskim pod Szafuzą, ani z Giessbachem, ani z Reichsfallami; jest to raczej silnie zwężone koryto rzeki z dnem bardzo kamienistem, które na przestrzeni około 200 m. obniża się o 20 i rozszerzając się potem znacznie, pozwala uspokoić się silnie wzburzonym falom; wody nagle ścieśnione u góry, z niesłychanym łoskotem torują sobie drogę wśród skalistych urwisk, szumem i pianą bryzgając dokoła.

Z mostu widok cudownie piękny: na prawo woda czarna, jak atrament, niedaleko od mostu pienić się zaczyna; piana w zestawieniu ze śnieżnem wybrzeżem żółtawy kolor przybiera. Na lewo Imatra w skróceniu wygląda jak jeden wał piany, a za nią olbrzymia płaszczyzna wody w oddaleniu równą się prawie wydaje i w pełnem oświetleniu dość nizko już stojącego słońca, zdaje się płynąć jednem morzem złota.

Wzdłuż obydwóch wybrzeży ścieżki zaopatrzone w poręcze, galeryjki i pawilony dają możność przyjrzenia się wodospadom ze wszystkich stron. Ztąd dopiero zauważyć można szczegóły prześlicznej dekoracyi zimowej: gruba warstwa śniegu, pokrywająca skały, zlodowaciała na brzegu i ciągle opryskiwana przez spadające fale, rosnąc i posuwając się naprzód, zawisła nad wodą, tworząc prześliczne konchy o zielonym odcieniu.

Fala za falą wskakuje na tę ławę, a wracając marznie i tworzy łuskę z wierzchu, a sople u brzegu; jeden bałwan strąca pracę poprzedniego, a następny na nowo ją rozpoczyna i tworzy się przez to rąbek misternej roboty, który, jak koronka z sopli i sopelków okala po nad wodą lodowate brzegi Pył wody, unosząc się w powietrzu, marznie i padając, pokrywa śnieg miryadami kryształków, nadając mu powierzchnię jakby aksamitną w cieniu, a dziwnie lśniącą i mieniącą się w jaskrawem oświetleniu słonecznem.

Wuoksen dalej tworzy kilka odnóg, płynących miejscami szklisto równą powierzchnią, to znów marszczących się na licznych skałach, napotykanych po drodze; łączą się i znów dzielą, tworząc mnóstwo wysepek i kanałów. O sześć wiorst za Imatrą gwałtowniejszy spadek utworzył znów dość znaczny wodospad, zwany małą Imatrą. Najętemi sankami można do niego dojechać! Dziwnie zwinne są fińskie, maleńkie koniki, zaprzężone do bardzo wązkotorowych saneczek o długich płozach i szerokiem siedzeniu, pędzą zawsze równym, bardzo szybkim kłusem, nie bacząc na zakręty i pochyłości drogi. Mniej więcej po 20 minutach sanki zatrzymują się przed bramą, którą zagrodzony jest wjazd, na nadzwyczaj stromą górę, pokrytą lasem. Za opłatą 50 pennia (20 ct.) stróż otwiera bramę i woźnica z nadzwyczajną zręcznością pełnym kłusem wjeżdżając pod górę, wymija głazy, leżące po potokach i nie zwalnia nawet na prostokątnych zakrętach. Na Małej Imatrze widok zupełnie inny, ale także nadzwyczaj malowniczy. Z góry prowadzą schodki do pawilonu, stojącego tuż ponad wodą. Wuoksen, płynąc szeroko i równo, napotyka nagle krótki a stromy kilkometrowy spadek; kłębiąc się i szumiąc, rzeka tworzy wodospad i płynie potem dalej równo i spokojnie. Główną piękność stanowi tu otoczenie mniej dzikie, jak koło Imatry; las dochodzi do samej wody i wyrasta kępami na wysepkach przed i za wodospadem. Sam wodospad, olbrzymią skałą rozdzielony na dwoje, oblewa ją i obmywa nieustanną falą, ale prąd jest tak silny, że tu nie tworzą się te zimowe formacye, nadające tak oryginalny charakter otoczeniu Imatry. To też sądzić można, że Mała Imatra w lecie jest piękniejszą: traci dużo na braku zieloności — a nie zyskuje tyle, co jej starsza siostra w odzieży zimowej.

Tuż nad samą Imatrą znajduje się „Grand Hotel dês Cascades“ zaopatrzony we wszelkie wymagania najwykwintniejszego komfortu, w którym podróżni, znużeni wycieczką do wodospadu, wygodnie wypocząć mogą.

KRONIKA.

Lwów 5 lipca.

Prezydent ministrów hr. Kazimierz Badeni przejeżdżał w sobotę po południu przez Lwów z Buska do Wiednia. Na dworcu kolejowym powitali hr. Badeniego: namiestnik ks. Eustachy Sanguszko wraz z wiceprezydentem Namiestnictwa p. Lidlem, oraz deputacya Reprezentacyi miejskiej, składająca się z prezydenta dr. Małachowskiego, wiceprezydentów Michalskiego i Szajora, oraz dr. Marchwickiego. Wysiadłszy z wagonu przywitał się hr. Badeni serdecznie z wszystkimi panami, najdłużej zaś rozmawiał z dr. Małachowskim. Zawiadomił go hr. Badeni, iż kilka spraw dla miasta niezmiernie ważnych załatwił Rząd pomyślnie, a między innemi znajduje się sprawa rewindykowania kościoła Panien Klarysek na bardzo pomyślnej drodze. Jak wiadomo kościół ten położony przy placu ..łowym, zamieniono za czasów panowania cesarza Józefa II na magazyny rządowe (obecnie mieści się tam skład tytoniu). Magistrat lwowski postanowił kościół ten odbudować i przeznaczyć go wyłącznie dla uczniów szkół średnich. Uchwała ta zapadła przy sposobności obrad nad obchodem jubileuszu panowania Cesarza. Otóż hr. Badeni oświadczył dr. Małachowskiemu, że sprawę tę nietylko najusilniej poprze, ale starać się będzie, ażeby Rząd do urzeczywistnienia tej pięknej myśli materyalnie się przyczynił. Po 25-minutowym przystanku odjechał hr. Badeni do Wiednia. Do Przemyśla towarzyszył mu ks. Sanguszko. Nawiasem zaznaczamy, że prezydent ministrów świetnie wygląda i jest w doskonałym humorze.

P. minister dla Galicyi dr. Edward Rittner bawił przez dzień sobotni w Krakowie, dokąd przybył w odwiedziny do Najprzewielebniejszego księcia biskupa Puzyny. Przed południem oglądał p. minister szczegółowo dokonywane restauracye na Wawelu i w kościele św. Krzyża, oraz zwiedził budujące się gmachy gimnazyalne. Po śniadaniu danem na cześć jego przez księcia biskupa, odjechał p. minister do Wiednia.

W niedzielę wieczorem odjechał p. dr. Rittner na kilkutygodniowy urlop do Karyntyi i Szwajcaryi.

Pan prezydent wyższego sądu krajowego, dr. Tchórznicki wyjechał do Gastein.

Ksiądz Stablewski, arcybiskup gnieźnieńsko-poznański, przybył w niedzielę wieczorem do Krakowa i zamieszkał w pałacu księcia biskupa Puzyny.

Przeniesienia. Koncepista policyi Euzebiusz Tymowski przeniesiony z Brodów do Lwowa, Emil Burdowicz z Przemyśla do Brodów, zaś oficyał policyi Bronisław Gergovich z Majdanu sieniawskiego do Przemyśla.

Oględziny chłopców, którzy chcą być przyjęci na kolonię w Hrebenowie, odbędą się we wtorek dnia 6 lipca o godz 5 po południu w szkole ludowej im. Staszica przy ul. Skarbkowskiej l. 45.

Festyny i zabawy wczorajsze udały się wszystkie doskonale, głównie dzięki prześlicznej pogodzie. Najwięcej publiczności zebrało się na wzgórzu stryjskiem gdzie się odbył festyn na dochód wdów i sierót pozostających pod opieką Tow. św. Salomei. Również i na Strzelnicy lwowskiej bawiono się świetnie na rzecz funduszu pensyjnego Tow. pod wezwaniem bł. Jana z Dukli. Festyn Lutni zgromadził także wczoraj na Wysokim Zamku tłumy publiczności, która oklaskiwała nader udatne produkcye chóru „Lutni“ oraz orkiestry 30 pp. Niemniej dobrze wypadła wycieczka do Brzuchowic, dokąd się udało przeszło 1000 osób na festyn urządzony na dochód funduszu pensyjnego Towarzystwa chrześć. kupców lwowskich.

Do Podgórza, gdzie — jak to już donosiliśmy — zrezygnował pocztmistrz Klein z godności burmistrza, przyjechał radzca Wydziału krajowego Michalczewski i odbywa właśnie ścisłą rewizyę gospodarki gminnej.

Na miejscu katastrofy kolejowej pod Kołomyją pracują przez cały dzień i całą noc pionierzy i robotnicy kolejowi nad uporządkowaniem przerwanego przez wodę nasypu kolejowego. W nocy miejsce katastrofy oświeca światło elektryczne. Nie rychło jeszcze jednak, mimo energicznej akcyi, ukoń-

czone będą wszystkie roboty. Na razie, z powodu poprowadzenia strumyka Kosaczówka nowem korytem opadła woda do 2 i $^{1}/_{2}$ metra głębokości, lokomotywę już więc widać, ale mimo tego ciała palacza Krejczego nie znaleziono. Aby zapobiedz konieczności przesiadania się w miejscu katastrofy pasażerów, powierzono budowę tymczasowego mostu przedsiębiorcy z Czerniowiec p. Tauberowi. Most będzie 5 i $^{1}/_{2}$ metra szeroki, 36 do 40 metrów długi, a ukończony będzie najpóźniej za dni dziesięć.

Jutro we wtorek odbędzie się na żądanie kolei państwowej przeprowadzenie dowodu ku wiecznej pamięci. Sąd kołomyjski ustanowił dla spadkobierców ofiar katastrofy kuratorem adwokata dr. Dębickiego z substytucyą dra Dudykiewicza a dla pokaleczonych kuratorem dra Krośnickiego z substytucyą dra Zipsera w Kołomyi.

Poranionego oficyała pocztowego Gnaedingera odwieziono już, jako rekonwalescenta, do Lwowa.

Pani marszałkowa St. hr. Badeniowa wyjechała do Radziechowa na dłuższy pobyt. St. hr. Badeni zamieszkał na ten czas w Wydziale krajowym w apartamentach frontowych I piętra przydzielonych dla marszałka krajowego.

Konkursa. W okręgu krakowskiego sądu krajowego opróżnioną będzie w październiku rb. posada wicedyrektora dla ksiąg gruntowych w IX klasie rangi, tudzież większa ilość nowosystemizowanych posad oficyałów kancelaryjnych w IX i X, a dalej kancelistów w XI, tudzież prowadzących księgi gruntowe w IX klasie rangi. Termin do 15 sierpnia rb.

Prezydyum sądu krajowego w Krakowie na posadę dyrektora kancelaryi w VIII klasie rangi. Termin do 1 sierpnia.

Wydział Rady powiatowej w Tłumaczu na posadę sekretarza z płacą 1200 zł. rocznie. Termin do 31 bm.

W bursie nauczycielskiej w Tarnopolu będzie na rok szkolny 1897-8 60 miejsc do obsadzenia. Chcący ubiegać się o umieszczenie w bursie obowiązani są do podania dołączyć świadectwo szkolne i deklaracyę rodziców, jaką kwotą przyczyniać się będą do utrzymania wychowanka. Pierwszeństwo mają synowie nauczycieli szkół publicznych. Podania przyjmuje dyrekcya seminaryum naucz. w Tarnopolu do 15 sierpnia.

Burze. Nawalnica z piorunami nawiedziła w piątek okolicę Bursztyna. Dwóch ludzi pracujących w polu zabił piorun. Również i w sąsiedniem miasteczku Bołszowcach zabił piorun dwóch ludzi. W polu wyrządziła burza olbrzymie szkody.

W Samborze poczynił 1 b. m. grad znaczne szkody.

Pożary. W Milnie pod Założcami zniszczył ubiegłego tygodnia pożar 20 domostw. Między innemi spaliły się także koszary żandarmeryi, w których eksplodowało 200 ostrych patronów. Eksplozya nie spowodowała na szczęście żadnych ofiar w ludziach.

W Borku Falęckim pod Krakowem spaliły się od pioruna zabudowania dworskie.

Ks. Stojałowski — jak donosi dzisiejsza *Sonn- u. Mont. Zeit.* — nie bawi obecnie w Czaczy, lecz w Szwajcaryi przebywa.

Tyfus brzuszny pojawił się znów we Lwowie w okolicy ogrodu jezuickiego.

Fabrykanci bicyklów w Ameryce związani byli dotychczas kartelem. Przed kilku dniami jednak rozbito ten kartel i jedna z największych fabryk Pope Company obniżyła cenę rowerów „Columbia“ z 100 na 75 dolarów. Za nią będą musiały pójść inne fabryki. Głównym celem rozbicia kartelu jest zniszczenie mniejszych przedsiębiorstw konkurencyjnych, dla tego też kilka wielkich fabryk postanowiło przez pewien czas sprzedawać bicykle nawet poniżej własnych kosztów. Dzienniki amerykańskie przewidują, że skutkiem teraźniejszego spadku cen liczba cyklistów w Ameryce wnet się podwoi.

Nasze drogi. Ze Zwiniacza nam piszą:

Ktokolwiek z zamiejscowych chciałby i potrzebował przekonać się jakie u nas są drogi — niech zjedzie w nasze strony — a ręczę, że o wiele więcej nieładu i nieporządku spostrzeże naocznie, niż go opisać zdołałem. Wszyscy się uskarżają, tak ci którzy tylko lekkim wózkiem mają przejechać i jeszcze bardziej ci, którzy jeździć muszą z wyładowanymi towarem furami.

Droga z Budzanowa, do Kalinowszczyzny (do kolei) miała pierwotnie inaczej zakreślony kierunek i wcale na położony obok Wierzbowiec iść nie miała. Stało się jednak inaczej. Ominęła ona inne miejscowości, którędy prosty kierunek wskazywał, gdyż ś. p. referent drogowy Wydziału powiatowego trembowelskiego, ujęty przez ś. p. byłego właściciela Wierzbowca, odstąpił od postanowionego i ułożonego przez obydwa sąsiednie powiaty planu i zmienił najzupełniej kierunek tej drogi ze szkodą i krzywdą dla powiatu trembowelskiego, w pierwszej linii, a następnie ze szkodą dla powiatu czortkowskiego.

Obecnie nikt się o drogi nie troszczy, na czem cierpią najbardziej mieszkańcy. Ta jakaś apatya, która pozwala, żeby stan taki trwał tak długo bez żadnej zmiany na lepsze powinna ustać jak najrychlej i powołane organa powinny włożyć się w sprawę, aby usunąć szkodliwe skutki tej nieporządnej gospodarki drogowej.

Józef Mysłowski.

Z Janowa nam piszą pod datą 3 lipca. Tutejsza kolonia letników jest już niemal w komplecie. Wszystkie pokoje w hotelu oraz w obu willach przez bank pobudowanych, zostały już zajęte na cały sezon. Między innymi bawią tutaj: dyrektorowie Bielańscy, inżynierowie Dolińscy, pani Romanowa Jabłonowska, hrabina Łubieńska z rodziną, konzulowa Neumanowa, pani Pszorn z siostrą, pani Stanisławowa Schnür-Pepłowska, żona redaktora z rodziną i w. i. Nadto oczekiwani są z początkiem bieżącego miesiąca: Weronika hr. Łączyńska, drowie Hahn i Tabaczyński, tudzież państwo Seyfarthowie.

Zarząd zakładowy, pozostający pod czujnym dozorem p. Matuszewica, jako pełnomocnika galicyjskiego Banku hipotecznego, nie szczędzi zabiegów, celem uprzyjemniania gościom pobytu. Nie dziw przeto, iż liczba wycieczkowców, zwiedzających Janów w niedziele, tudzież w dnie świąteczne wzrasta niemal z każdym tygodniem.

List gończy. Więzień Michał Trojan, zasądzony wyrokiem Sądu obwodowego w Złoczowie za zbrodnię kradzieży na $1^{1}/_{2}$ lat ciężkiego więzienia, zatrudniony przy regulacyi górskich potoków w Śnietnicy koło Grybowa, zbiegł według doniesienia komendanta oddziału ztamtąd w dniu 4 b. m. Jest on rodem z Przewłoczny, powiatu Złoczowskiego, religii rzym. kat. wolny, zarobnik, liczy 24 lat, jest wzrostu średniego, wątłej budowy ciała, ściągłej twarzy, ciemno blond włosów, ma wysokie czoło, ciemnoblond brwi, oczy piwne, nos gruby, usta proporcyonalne, zęby zdrowe, twarz golona, mówi po polsku i rusku i wziął ze sobą letnie więzienne ubranie z cwilchu i słomiany kapelusz. W razie przydybania wyż wspomnianego zbiega uprasza się o odstawienie go do najbliższego Sądu lub wprost do Dyrekcyi Zakładu karnego dla mężczyzn we Lwowie.

Koniec likwidacyi Zakładu włościańskiego. Komitet likwidacyjny postanowił jak najrychlej ukończyć likwidacyę interesów tego Zakładu i w tym celu zwrócił się do Reprezentacyi powiatowych, do państwowych instytucyi finansowych i do Zarządu Kółek rolniczych z wezwaniem do wspólnej akcyi, oświadczając gotowość przyznania dłużnikom jak najdalej idących ulg i opustów, byle tylko wierzytelności swoje od razu spłacili. Dłużników tych jest jeszcze 2740. Mamy nadzieję, że Reprezentacye powiatowe zajmą się gorliwie tą sprawą i ułatwią zadłużonym włościanom pozbycie się pretensyi Zakładu włościańskiego pod możliwie najdogodniejszymi warunkami. Włościanie sami powinni także dbać o swe interesa i nie dopuszczać do procesu, bo wyszliby na tem bardzo źle. Znamy jednak naszego włościanina i wiemy, jak jest niedbały pod tym względem, dla tego też proboszczowie wiejscy, nauczyciele i światlejsi ludzie w gminie powinni oświecić gospodarzy zadłużonych w Banku włościańskim i skłonić do tego, aby jak najrychlej porozumieli się z komitetem likwidacyjnym. Bank krajowy i towarzystwa zaliczkowe powinny również wziąć udział w tej akcyi i przez dostarczenie włościanom taniego kredytu umożliwić im ostateczną spłatę długów.

Dzięki inicyatywie mężów stojących na czele likwidacyi, będzie więc niebawem ostatecznie zamknięty ten smutny okres Kraj cały szczerze im za to będzie wdzięczny.

Rodak nasz p. Bruno-Abakanowicz zamierza przy instalacyi tramwajów elektrycznych w Lugdunie zastosować po raz pierwszy nowego pomysłu kompensacyjny system szyn, który zapobiegnie wszelkim wstrząśnieniom podczas jazdy i usunie jednocześnie konieczność pozostawiania pewnych odstępów między wiązaniami szyn, nieodzowną dotąd ze względu na rozszerzalność metalu pod wpływem ciepła. Pan Abakanowicz, który jakiś czas był asystentem na politechnice lwowskiej, jest dyrektorem na Europę amerykańskiego elektro-technicznego Towarzystwa „Thompson Howsten“, którego dyrektorem na Amerykę jest Edison.

Z kolei. Od 1 lipca do 30 września rb. na szlaku Hatna Kimpolung bukowińskich kolei lokalnych oprócz pociągów mięszanych l. 2952, 2953, 2954 i 2955 kursuje jeszcze jedna para mięszanych pociągów, mianowicie pociągi l. 2951 i 2956 według ogłoszonego rozkładu jazdy.

Z borszczowskiego powiatu donoszą nam, że rozpoczęły się tam już żniwa. Zboże tego roku jest bardzo piękne i zbiory będą prawdopodobnie obfite.

Ze Stanisławowa nam piszą: Wielką senzacyę wywołało w mieście naszem aresztowanie Albina Haasa, współwłaściciela firmy Haas i Stein. Uwięziono go na żądanie Steina, pod zarzutem sprzeniewierzenia. Przy rewizyi, zarządzonej w mieszkaniu prywatnem Haasa, znaleziono wiele towarów, oraz banknotów, które p. Stein, podejrzywający swego wspólnika o sprzeniewierzenie, umyślnie naznaczył.

Zmarli. W Krakowie Jan Sadowski, współredaktor *Czasu*, autor słynnej pracy p. t. „Drogi handlowe dawnej Polski; Józef Tomek, pułkownik-audytor, w 46 roku życia. — W Perehińsku Kazimierz Rozwadowski, em. zarządca lasów rządowych, w 74 roku życia. — We Lwowie Jadwiga Beckowa, żona dyrektora Towarzystwa zaliczkowego, w 26 roku życia; Eugenia Śliwińska, żona adjunkta sądowego, w 40 roku życia; Bogusław Longchamps, żełnierz polski z roku 1863, naczelny buchalter i prokurzysta banku kraj., w 56 roku życia.

Ofiary. Dla wdowy po ś. p. Puldzie otrzymaliśmy od p. S. P. z Jasienowa 1 zł. — razem z poprzednio wykazanemi 26 zł. 37 ct.

Stan powietrza. T. o g. 8 rano + 13, w poł. + 14 R., Bar. 763. Podnosi się. Pochmurno.

Ile masz długów?

— Ile masz długów, przyznaj się Walenty?
— Dziesięć tysiączków.
— Gwałtu! toś zarznięty
— Głupstwo, naprawdę, bo mam dwa bez mała,
Z których cokolwiek niby sobie robię,
A reszta długów, widzisz, pozostała,
To przyjacielskie, jak naprzykład tobie.

M. Rodoć.

Aforyzmy.

Wydaje sam sobie *testimonium paupertatis*, kto mówi wciąż o swojem bogactwie.

Nie powinniśmy nikogo krzywdzić świadomie już przez to samo, iż zbyt często czynimy to nieświadomie.

Tylko łzy radości są zawsze prawdziwe.

Choćbyś miał sobie nogę złamać, świat się śmiać będzie, jeżeli upadniesz.

Dobrzy więcej uczą się od złych, niż źli od dobrych.

Gdyby cały świat był dobry, nie byłoby zasługą być dobrym.

Dawniej prawda była naga, dziś zazwyczaj bywa dekoltowana.

Odpowiedzi Redakcyi. *W. Tadeusz Skorupski, Niemirów.* Do dra Kreusnera adresować należy: „Wiedeń, Uniwersytet“.

Korespondencya Administracyi *Wna Pani Skrzyszowska w Chartanowcach.* Prenumerata zapłacona do 15 lipca.

Rozmaitości.

— **Latawce na usługach nauki.** Któż nie pamięta z lat dziecięcych latawca, zabawki, która tak wielkiem napawała nas zadowoleniem? Otóż latawiec, który na pozór służyć może tylko dzieciom do zabawy, oddaje, a raczej oddawać zaczął od niedawna bardzo znaczne usługi meteorologii, zwłaszcza od czasu, gdy uczeni Hargrawe i Eddy połączyli w jedną całość dwa typy: t. zw. latawca skrzynkowego i latawca malajskiego

Aby rezultat osiągnąć, przedewszystkiem ucięto latawcowi ogon, jako dodatek bez wątpienia w chwili wzlotu efektowny, ale najzupełniej niepotrzebny, a nawet przeszkadzający do biegu. Następnie przezwano go meteorografem, na znak, że odtąd służyć ma celom poważnym, nie zaś płochej zabawie, wreszcie zaprowadzono w zabawce dziecięcej mnóstwo udoskonaleń, dzięki czemu meteorografy pp. Hargrave i Eddy'ego wzlatywać mogą na wysokości, o których się ani śniło latawcom, które tak wielkiem w latach dziecięcych napawały nas zadowoleniem.

W r. 1894 największa wysokość, której dosięgały latawce, puszczane w celach meteorologicznych, była 1,500 stóp. W roku 1895 latawiec z obserwatoryum Blue-Hik z łatwością dosięgnął 1,900 stóp. Aby wzmocnić siłę lotu, łączono po kilka latawców na raz. Tak np. Eddy połączył kiedyś 9 latawców, z których trzy miały 9 stóp wysokości, trzy—6, jeden—7, dwa—5 stóp, ogólna zaś powierzchnia wszystkich wynosiła 220 stóp kwadratowych. Meteorograf ten dosięgnął wysokości 7,500, stóp czyli 2,500 metrów i byłby bez wątpienia odpowiedział godnie nadziejom, jakie w nim pokładano, gdyby nie straszliwa burza, która poszarpała papier latawców i udaremniła wzlot dalszy.

Latawce, używane do celów meteorologicznych, nie przypominają kształtami naszych latawców dziecięcych, mają bowiem przeważnie formę cylindryczną lub kasetową (latawce t. zw. celkowe). Udoskonalenia, jakie obecnie w nich zaprowadzono, pozwalają utrzymywać je w powietrzu w czasie deszczu i śniegu.

Najwyższy dotychczas wzlot odbył się w warunkach następujących. Było to dnia 8 października. 1896 roku. Meteorograf wzniósł się na wysokość 8,740 stóp (2,900 metrów) nad szczytem gór Montagne-Bleus, na wysokość zaś 9,375 stóp (3,120 metrów) nad powierzchnią morza. Do wzlotu służyło wówczas 9 skombinowanych latawców, połączonych i utrzymywanych na ziemi przy pomocy struny metalowej. Na wzlot i opuszczenie latawców zużyto 12 godzin. Aparat meteorologiczny zanotował chwilę, gdy meteorograf wszedł w sferę chmur, dalej zaś utrwalił na papierze temperaturę 20° Fahrenheita, gdy w tym samym czasie w obserwatoryum notowano 46°.

Amerykanin Hugh nie chciał poprzestać na użyciu latawca do notowań meteorologicznych, ale zapragnął użyć go do podnoszenia w górę ludzi, co mu się do pewnego stopnia udało. Oczywiście nieodrazu ośmielono się powierzać wątłej zabawce dziecęcej życie ludzkie. Zaczęto więc próby od przywieszania do latawców latarni różnych kolorów, w celu użycia ich jako sygnałów świetlnych. Próby powiodły się doskonale, przywieszono więc do jednego z latawców trapez i posadzono na nim manekina wagi 60 funtów. Wzlot odbył się pomyślnie, zauważono tylko, iż, gdyby na miejscu manekina znalazł się człowiek, bez wątpienia dostałby choroby morskiej, trapez bowiem kołysany był na wszystkie strony z siłą nadzwyczajną. Wreszcie w d. 22-im stycznia b. r., aeronauta Wise zdecydował powierzyć na chwilę życie swoje latawcowi i wzniósł się na wysokość 40 stóp, uniesiony w górę przez kombinacyę pięciu latawców celkowych, których powierzchnia ogólna równała się 312 stopom kwadratowym. Stosunek ciężaru był następujący: latawce ważyły 59 funtów, sznury łączące je z ziemią 20 funtów, siedzenie i człowiek 150 f., razem 229 funtów.

W ten sposób dowiedziano się, że latawce mogą wznosić w górę człowieka, a więc latawiec przedewszystkiem zastępować może balony na uwięzi, są zaś o tyle od balonów praktyczniejsze, że: 1) nie potrzebują napełniania gazem, 2) można je niesłychanie łatwo przenosić z miejsca na miejsce, 3) kosztują bardzo mało, choćby nawet były robione z tkaniny jedwabnej, jako najpewniejszej i najtrwalszej.

Jeszcze inny aeronauta, mianowicie Wilhelm Eddy, z powodzeniem używał latawców do powietrznych zdjęć fotograficznych. Umieszczał mianowicie leciutki aparat fotograficzny na jednym z prętów latawca, w chwili zaś właściwej, to jest na pewnej wysokości, pociągał z ziemi za sznurek, przywiązany do zasuwki, i w ten sposób zamykał aparat. Ponieważ aparat znajdował się na ogromnej wysokości, widoki ukazujące się na szkle były niezmiernie rozległe. Tak np. stwierdzono, iż przy pomocy aparatu fotograficznego na latawcu, można zauważyć miejsce pobytu okrętu w odległości 20 mil od statku, z którego latawca puszczono. Ileż usług mógłby dzięki temu oddawać latawiec ludzkości przy odszukiwaniu np. statków, zaginionych na morzu bez wieści!...

— **Nieprzyjaciel pocałunków.** Dr. Valvassori, znany lekarz hygienista w Medyolanie, jest nieubłaganym nieprzyjacielem pocałunków. — „Pocałunek“ pisze ten uczony „jest wrogiem ludzkości, który sprowadza na nas choroby warg, krtani, płuc, dyfteryt i suchoty. Gorące pragnienie kochanka ucałowania kruczych splotów lubej, przetłumaczone na język hygieny, znaczy: »Chcę sprowadzić na siebie raka krtani.« Wystrzał pistoletowy w plecy jest mniej niebezpieczny, niż każde tak niewinne napozór dotknięcie ust. „Wolałbym“ powiada Valvassori „widzieć swoje dziecko idące po dwadzieścia metrów nad ziemią położonym gzymsie, niż ujrzeć je całowane lub całujące. Chcesz popełnić samobójstwo, całuj tę piękną damę, która ci tak wpadła w oko; niebaczny, ściągniesz na siebie całą klinikę chorób.“ W ostatecznym wniosku hygienista jest za stanowczem usunięciem pocałunków; praktyki te należałoby pozostawić tylko zwierzętom. Włoska *Tribuna* — z której czerpiemy niniejszą notatkę — dziwi się, że po odczycie uczonego panowie i damy nie rzucili się sobie w objęcia i nie wymienili tysiąca pocałunków. Jednak swoją drogą profesor Valvassori ma słuszność.

— **Korekta drukarska i nerwy.** Jedna z wielkich firm wydawniczych paryskich puściła w świat książkę użyteczności codziennej. Ułożenie i wydrukowanie tej książki kosztowało dużo pracy. Sama tylko robota korektorska wymagała półrocznej blisko pracy trzystu osób. Na ich czele stał człowiek jeszcze względnie młody, bo trzydziestoletni, wyborny korektor, bardzo pilny, bardzo sumienny i odpowiednio wynagradzany. Przesiadywał co dzień od 8 rano do 6 wieczorem, odrywając się zaledwie na 20 minut dla przyjęcia posiłku lekkiego. Zajęty był głównie sprawdzaniem setek adresów, podanych w książce. Utrudzenie skwasiło jego charakter — niezadowolony był głównie z powodu błędów, które przeoczali jego współpracownicy i on sam nawet. Kiedy wreszcie książka wyszła z druku, wziął jej egzemplarz do domu, dwa dni i noc między temi dwoma dniami spędził na jej czytaniu i notowaniu błędów, które pozostały. Ta forsowna robota i znajdowane błędy wprawiły go w stan rozdrażnienia nadzwyczajnego. „Jestem zniesławiony!“ — powtarzał. — Nareszcie pożyczył rewolweru od swego krewnego i zastrzelił się, osierocając dwoje dzieci.

— **Prezydent Faure... i pocałunek.** Prezydent Rzeczypospolitej francuskiej z powodu rezultatu ostatnich wyścigów w Auteuil, miał do przezwyciężenia nielada trudność. Zwycięzcą na tych wyścigach był koń „Solitaire“, a właścicielką tego szlachetnego rumaka jest panna Mars Bronchard, znana więcej pod pseudonimem aktorskim panny Marcy. Panna Marcy należy do komedyi francuskiej. W tem niema jeszcze nic nadzwyczajnego. Aktorka, mająca dochody panny Marcy, może sobie trzymać konie wyścigowe. Zwycięztwo „Solitaira“ zrobiło z pewnością wielką przyjemność jej i jej przyjaciołom, nie było jednak na rękę prezydentowi Rzeczypospolitej, który miał osobiście i publicznie powinszować pannie Marcy, co według miejscowych obyczajów rycerskich znaczy, iż powinien ją w obec tłumów publiczności uściskać i pocałować w oba policzki. Był to dla prezydenta dość niemiły obowiązek, pomimo, iż panna Marcy wcale jest niebrzydka i do pocałunków zdaje się być przyzwyczajona. Ale prezydentowi Rzeczypospolitej nie wypadało publicznie całować aktorki, choćby ta wygrała sto razy wielką nagrodę w Auteuil. Co czynić w tym wypadku. Prezydent Faure, a jak złe języki twierdzą, pani Faure, wpadła na dobrą myśl. Postanowiono, by prezydenta wyręczył zastępca. Wszak naczelnicy państw żenią się *per procuram*, dlaczegożby tak samo postąpić nie można w wypadku daleko mniejszej wagi, zwłaszcza jeżeli ofiary takiej wymaga moralność publiczna! I p. Faure posłał jednego ze swych adjutantów, by go wyręczył w całowaniu panny Marcy. Oficerowie umieją obchodzić się z aktorkami, więc i adjutant prezydenta spełnił swą misyę ku ogólnemu zadowoleniu.

— **Sędziwy śpiewak.** Na zjeździe śpiewaków w Holstein (Bazylea) odśpiewał 102-letni starzec, Thommen, wraz ze swoim 84 letnim synowcem pieśń religijną: „Kiedy, o Stwórco, władzę Twoją...“ Zgromadzeni w skupieniu wysłuchali tego najstarszego chyba na świecie śpiewaka.

— **Ośmdziesiątą rocznicę ślubu** obchodziło w Ameryce w stanie Michigan, niezwykle sędziwe małżeństwo. Przed ołtarzem, dla otrzymania błogosławieństwa kapłana, stanął „pan młody,“ liczący lat 107 i „panna młoda,“ licząca lat 105. Całe lat 80 małżeńskiego pożycia spędzili małżonkowie w największej zgodzie i miłości.

Głosy publiczności.

Podziękowanie.

„Podwieczorek wyścigowy“ na dochód domu podrzutków „Dzieciątka Jezus“ przyniósł czystego dochodu 1.058 zł. 5 ct. W pierwszym rzędzie do rezultatu tego przyczynił się JWP. prezydent *Małachowski* bezpłatnem udzieleniem pałacu sztuki. Dziękujemy dalej WP. pułkownikowi *Ocetkiewiczowi* za bezpłatne udzielenie muzyki, W. P. *Lewickiemu* za porcelanę, pp. *Wolińskiemu* i *Kaczyńskiemu*, oraz p. *Starkowi* za ofiarowane kwiaty, a w końcu WP. *Buynowskiemu* za troskliwą i energiczną pomoc w urządzeniu „podwieczorku“. Wszystkim przesyłamy serdeczne Bóg zapłać“.

Adamowa Sapieżyna. Władysławowa Sapieżyna.

* * *

Na ręce komitetu ratunkowego w Majdanie, złożyli na dotkniętych gradobiciem, odnośnie do odezwy, umieszczonej w *Przeglądzie* z dnia $^{26}/_{6}$ b. r. L. 144 zapomogi: W. W. księża ze Sambora przez ręce ks. Watulewicza 3 zł. Ks. W. Mach z Chyrowa 5 zł. W. P. Radzikowscy z Korsowa 1·20. J. E. ks. biskup Łobos z Tarnowa 20 zł. C. Kasprowicz ze Lwowa 2 zł. Y. Z. z Krosna 1 zł. K. Z. antysemita z Krakowa 5 zł. Helena Zakrzewska z Wiktorowa 5 zł. Ksiądz Maciejowski z Czernichowa 2 zł. N. N. ze Sędziszowa 2 zł. Aleksander Jedliński ze Lwowa 2 zł. Klasztor P. P. Benedyktynek w Przemyślu 5 zł. Ks. M. Twaróg z Boguchwały 2 zł. Ks. B. Królikowski z Tarnowa 2·50. Parafia Mariahilf w Kołomyi 5 zł. Ks. Konstanty Jakubowski z Jaremcza 3 zł. M. J. z pod Dynowa 5 zł. Ksiądz Michał Stupnicki z Łukowca 5·40. Ks. Jan Burda z Zaczernia ze składek 5 zł. P. Tyszkowska z Zadubrowiec 5 zł.

Wszystkim łaskawym ofiarodawcom składa w imieniu nieszczęśliwych najserdeczniejsze „Bóg zapłać“ komitet ratunkowy w Majdanie.

Majdan dnia 2. lipca 1897.

Ks. T. Mach, proboszcz.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 3 lpca.

(Z.). Ani na chwilę nie ustaje wyuzdana spekulacya w alpinach. Dziś znów skupowano je i wyśrubowano ich kurs powyżej 120. Spekulacya ta tak pochłania całą giełdę, że innemi rzeczami ona jakby nie miała czasu się zajmować. Nawet żniwa przestały służyć za podstawę rozmaitych kombinacyi giełdowych. Oprócz alpinów cieszyły się pewnym popytem tylko akcye fabryk maszyn i browarów. Skutkiem gorąca zwiększa się konsumcya piwa, a akcye browarów idą w górę. — Akcye kredytowe wystawione były na silne ataki zarówno tutejszej jak i berlińskiej kontrminy. Kurs rent był nieruchomy.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 367·—, węgierskie 399·—, Anglobanki 158·—, Uniony 301·—, Bankvereiny 257·25, Länderbanki 239·50, Ludwiki 217·—, Czerniowieckie 287·—, Elbethale 259.—, Renta papierowa 102·10, srebrna 102·15, austryacka złota 123·20, austr. renta wal. kor. 101·—, węgierska złota 122·75, węgierska renta wal. kor. 100·05, dukat 5·65, 20-frankówka 9·52—, marki 11.72—. ruble 1·26^{3}/..

Wiedeń 3 lipca. Spirytus 16·30—16·40. Przeciętna cena z całego tygodnia 16·30—16·45.

* **Z kolei.** *Gazeta lwowska* ogłasza publiczne rozpisanie dostawy żwiru tłuczonego i rafowanego, który dyrekcya kolei państwowych we Lwowie w r. 1898 potrzebować będzie Oferty dotyczące na przepisanych blankietach sporządzone, mają być wniesione najpóźniej do 12 sierpnia b. r. dwunastej godziny w południe do wymienionej dyrekcyi we Lwowie.

§ **Wiec młynarzy** obradował wczoraj w Wiedniu i uchwalił wystosować do rządu rezolucyę, domagającą się, aby nie odnawiał kończącego się 31 grudnia b. r. związku celno-handlowego z Węgrami, lecz ażeby zawarł z nimi taki traktat celno-handlowy, w którymby była zagwarantowana jedność monarchii na zewnątrz, wewnątrz zaś miałaby być utworzoną linia celna, umożliwiająca obu państwom rozwijać się ekonomicznie bez żadnych przeszkód. Uchwalił dalej rezolucyę, domagającą się, ażeby Rząd zabronił gry terminowej na zboże, praktykowanej na giełdzie zbożowej i ażeby zwołał ankietę w celu ustanowienia nowych norm dla obrotu zboża na giełdzie.

Telegramy „Przeglądu“.

Konstantynopol 5 lipca. Turcya dotąd nie porzuciła jeszcze oporu swego w sprawie kapitulacyi zawartych na korzyść Greków, mieszkających w Turcyi. Jako główny powód. dla którego żąda zniesienia tych kapitulacyi, podaje, że są one powodem ustawicznych nadużyć ze strony poddanych greckich, Grecya zaś utrzymuje, że to nieprawda i że Turcya nigdy dotychczas nie podniosła żadnych podobnych skarg. Zresztą stoi rząd grecki na tem stanowisku, że kapitulacye te mogą być zniesione tylko za zezwoleniem tych mocarstw, które podpisały protokół konferencyi londyńskiej z 3-go lutego 1832 r., tj. Anglii, Francyi i Rosyi.

Peszt 5 lipca. Do miejscowości Czibakhaza wysłano dwie kompanie wojska, gdyż strejkujący spędzają obcych robotników z pola i nie dają im robić.

Sofia 5 lipca. Król rumuński przybędzie na pewno tego lata w odwiedziny do księcia Ferdynanda. Odwiedzinom tym przypisują sfery polityczne doniosłe znaczenie.

Rzym 5 lipca. W niektórych okolicach Włoch zanosi się na strejk żniwiarzy. W prowincyi Ferrarze burzą się robotnicy wiejscy. Przyszło nawet już tam do krwawej bójki między robotnikami a karabinierami.

Budziejowice 5 lipca. Poseł do rady państwa z tutejszego okręgu ks. Fryderyk Schwarzenberg zdawał wczoraj sprawę przed wyborcami i zaprzeczył, jakoby wdrożono już rokowania pokojowe.

W dalszym toku dowodził, że Czesi muszą się starać o złamanie hegemonii Niemców w Austryi i zapewniał, że szlachta historyczna zawsze pójdzie z reprezentantami narodu czeskiego i połączonemi siłami dążyć będzie do zmiany konstytucyi w duchu autonomicznym.

Konstantynopol 5 lipca. Ambasadorowie urgowali ustnie Portę, aby przyśpieszyła ukończenie prac przedwstępnych tureckich delegatów wojskowych co do regulacyi granicy, gdyż dlatego przewlekają się niepotrzebnie rokowania pokojowe. W sprawie tej odbędzie się dzisiaj rada ministrów. Następna konferencya ambasadorów i delegatów Porty odbędzie się dziś lub jutro.

Wiedeń 5 lipca. Minister Rittner wyjechał dzisiaj na kilkutygodniowy urlop.

Belgrad 5 lipca. Miasto Belgrad wybrało do skupczyny dwóch radykalnych kandydatów. Inne stronnictwa nie postawiły żadnych kandydatur.

Tuluza 5 lipca. Powódź zniszczyła 40 domów; 16 ludzi utraciło życie.

HOTEL IMPERIAL

pierwszorzędny hotel, restauracya i kawiarnia.

Lwów — ulica Trzeciego Maja.

Przyjechali dnia 5 lipca. St. Dąbski z Rudna. Dr. Jan Hupka z Niewisk. Dr. J. Krug z Przemyśla. B. C. de Tudan z Seletin. Dr. L. Kapiel z Tutili. W. Bayer z Seretu. W. Wybranowski z Kimirza. M. Overhoff i W. Bartoszewski z Wiednia. Z. Kowalski z Warszawy. A. Sabatowski z Rożniatowa. S. Wasilewski z Trembowli. W. Markowski z Podola ros.

HOTEL ŻORŻA.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 5 lipca K. Ciołkowska z Wołynia. L. Szawłowski z Przewłoki. M. baron Błażowski z Nowosiółki. St. hr. Wiśniewski z Krystynopola. E. Zagórski z Kołodziejówki. W. hrabia Dzieduszycki z Jezupola. J. Wiktor z Czudca. W. Postruski z Wojniłowa. J. Nowakowski z Wołynia. K. hr. Firmian z Gródka. E. Misera z Przemyśla.

HOTEL EUROPEJSKI.

ALBERT SZKOWRON.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 5 lipca. Dr. Walewski z Nossowa. J. Nahlik z Krułoszyna. K. Węglowski z Czerniowiec. H. Dmóchowska z Rosyi. Z. Cieński z Stanisławowa. Z. Bartoszewski i F. Renier z Wiednia. St. Biesiadecki z St. Polten. H. Rybczyńska z Tarnopola. D. Poray Madeyski z Kopaczyniec. A. Onorato z Neapolu. St. Piotrowski z Lublina. M. Petrykowa z Jadłownik. M. Czyżyńska z Przemyśla.

HOTEL FRANCUSKI

we Lwowie, plac Maryacki

W nowym Zarządzie, zupełnie odnowiony

(F. C. Proksch)

Przyjechali dnia 5 lipca. Br. A. Reinhold z Fiumy. A. von Turoczy i A. von Till z Budapesztu. K. Komarowie z Jaworowa. P. Youngowa z Lipowiec. L. Lubowiedzcy z Warszawy. N. Kozłowski z Birczy. J. Sobetka z Freiwaldau. F. Radzichowski i K. Hrynakowski z Podola. J. v. Hubert z Odessy. R. Maciejowski z Nowego Sącza. L. Janiszewski z Tarnowa. O. Muszyński z Wiednia. J. Dębowski z Sambora J. Fiderkiewicz z Krakowa. Z. Filipowski z Żółkwi. J. Neumann z Jarosławia.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 5 lipca. (Z Izby handlowej)

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 216.— do 219.—. Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w a. 286 — do 289.— Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 386 — do 296.—. Akc garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 195.— do 205.— Tow budowy wagonów w Sanoku 250.— do 26).

Listy zastawne za 100 zł.; Banku hipot. galic 5 proc. los. w 40 lat. 5 proc a 10 proc. prem. 110.30 do 111.—, 4 i pół proc. los. w 50 lat 100.— do 100.70 4 pr. los. w 60 lat 96.70 do 97.40. Banku kraj. 4 i pół proc los. w 51 lat. 100.50 do 101.20 Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat 97.50 do 98.20. Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I. emisya) 97.80 do 98.50 4 proc. los. w 43 i pół latach 97.6) od 98.30 4 proc. los w 56 lat 97.30 do 98.—.

Obligi za 100 zł.: Gal fund. propinacyjnego 4 prc 97.90 do 98.60, Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.75 do —.— Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 100·30 do 101 — Kolejowe lokalne Banku krajowego 4% po 200 koron 96.50 do 97.20 Pożyczki kraj 6 proc. 103 — do —.—, 4 i pół proc. —.— do —.—, 4 proc. z r 1891 97.80 do 98.50, 4 proc po 200 koron z roku 1893 97.10 do 97.80.

Monety. Dukat cesarski 5.60 do 5.70. Napoleondor 9.48 do 9.58. Półimperyał 9.55 do —.—. Rubel rosyjski papierowy 1.26 do 1.27 100 marek niemieckich 58.40 do 58.90.

29)

KTO WINIEN?

Powieść

przez

E. BRADDON.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartingh.

(Ciąg dalszy).

— Zkądże się ona tu wzięła? — spytała. — Wygląda, jak gdyby pochodziła z przeszłego wieku. Przywodzi mi ona na myśl nowelle miss Auston, i dni, kiedy Bath było centrum mody i elegancyi, a młode panny występowały w kasynie w białych muślinowych sukniach, z koralikami na szyi w lokach á *la Sévigné*.

— Jest to istotnie stara wstążka, którą znalazłam przed laty — odparła ciotka. — Służy mi do owiązywania starych papierów.

— Ta wstążka powinna służyć tylko do owiązywania listów miłosnych, ciotuchno — rzekła Iza, owijając ją dokoła palców i podziwiając miękki, złotawy połysk jedwabnej tkaniny. Dziś nie wyrabiają już takich atłasów. Śliczny to zabytek dawnych lat, kiedy młode dziewczęta przygrywały na harfie i tańczyły menuety. Mam nadzieję, że nie użyłaś jej ciociu do związania rachunków rzeźnika lub piekarza? Ty jesteś taka prozaiczna czasami, ciotenko!

— Opowiedzże nam o obiedzie u starej matki Aspinall — wtrąciła Tina, która nie przebierała nigdy w wyrażeniach. Czyście się dobrze uśmiali?

— Tino, jakże możesz mówić o niej w ten sposób? — łagodnie strofowała ciotka Dora.

— Nie podoba ci się, cioteczko, że ją nazywam matką? A cóż w tem złego? To taki powszechnie szanowany tytuł. Gdyby była przełożoną zakonu, toby ją nazywano wielebną matką. No, opowiedzże o tym obiedzie, Iziu. Ona raz po raz ściąga do siebie Mortona, a nas prawie nigdy, co jest wielką impertynencyą z jej strony. Ale uważa zapewnie, że trzy kobiety z jednej rodziny, to zanadto; to też ogranicza się na przysłaniu nam raz w rok zaproszenia na swoje *garden-party*, a zresztą pozwala nam walczyć wśród tłumu, złożonego z najmniej interesujących miejscowych żywiołów, o filiżankę zimnej herbaty lub o spodek ciepłych lodów. No, i jakże tam było?... mów.

— Dość zabawnie — odparła Iza, cała promieniejąca uśmiechami. — Morton był, jak wiesz już, i lord Beville, który trochę więcej nad konieczność zajmował się mną, co się nie podobało Mortonowi. Chciało mu się rozmawiać i nie zdawał się wcale brać w rachunek tego, że Morton i ja mamy prawo wykluczyć go z naszej konwersacyi. Co się tyczy samej pani Aspinall, była ona tak grzeczną... ale to tak ogromnie grzeczną, uprzejmą i wylaną że mi to najdziwaczniejsze przypuszczenia napędziło do głowy.

— Mianowicie co?

— Zdawało mi się, że wysiliła całą swoją dyplomacyę, aby oczarować papę, i nie miałaby nic przeciw temu, aby zostać moją macochą.

Tina roześmiała się na cały głos.

— No, widzicie ją!... Doprawdy!... Nie miałaby nic przeciw temu... Ależ ona oddałaby swoje oczy, a przynajmniej brwi — boby sobie łatwo mogła zafundować drugą parę — żeby tylko mieć sposobność po temu. Przebiegły, stary gruchot! Ale ty się nie obawiasz, żeby twój pater dał się złapać w te sidła, Iziu? Po dwudziestu latach wdowieństwa, wątpię, aby mu się chciało wstępować w powtórne związki.

— O! nie, tego się nie obawiam — odparła z uśmiechem pełnym zaufania. — Odesłałam kucyki do stajni, bo pomyślałam sobie, że może mnie zatrzymasz na śniadaniu, cioteczko.

— Ależ to się samo przez się rozumie, moje najdroższe dziecko — zawołała ciotka, obejmując ją i ściskając serdecznie. Twoja obecność w tym domu, to jak promień wiosennego słońca. Daj Boże, abyśmy resztę dni życia naszego mogły spędzić tu razem!

Powiedziała to z tak głębokiem uczuciem i z tak niezwykłem przejęciem, że Izia uczuła się pomimowoli poruszoną. Zdawało się, jakby Dora Blake przeczuwała jakieś nieszczęście, które pragnęła zażegnać tem westchnieniem do Boga.

— Co ten nieznośny brat mój myśli sobie, zamykając się tak na cały ranek w swojej kancelaryi?! — zawołała zniecierpliwiona Tina. — Musiał przecież słyszeć głos Izi w sieni, chyba, że miłość jest zarówno głuchą jak ślepą. Pójdę i wywołam go.

— Nie rób tego — prosiła Iza. — Przyjechałam tu, żeby się zobaczyć z ciocią Dorą i z wami. Mortona widuję przecież w domu.

— To wszystko być może, ale nie trzeba tolerować takiego braku galanteryi ze strony tego niedźwiadka. Otóż i oznajmiają śniadanie. Ciotuchno, wyglądasz okropnie mizernie dzisiaj. Czy Tibbs i ty łamałyście sobie głowę nad domowemi rachunkami?

— Nie, kochanko. Ja nigdy nie łamię sobie głowy nad tem.

— To prawda, że jesteś wzorową gospodynią, ciociu, hojną a nie rozrzutną, pobłażliwą a wymagającą — rzekła siostrzenica. — Obawiam się, że gdy będę miała swój własny dom, to wszystko będzie się marnowało przez brak należytego dozoru. Nienawidzę wszelkich gospodarskich szczegółów.

Trzy panie, przechodząc przez sień, zastały Mortona gotowego przeprowadzić swoją narzeczoną do jadalnego pokoju, gdzie śniadanie zastawione było na stole, przybranym białemi i liliowemi chryzantemami. Horacya i Elżunia Hardman przyłączyły się za chwilę do reszty towarzystwa.

Wśród zebranych panien rozmowa toczyła się bardzo żywo, ale ani ciotka Dora, ani jej siostrzeniec nie brali w niej prawie żadnego udziału. Opowiadano sobie o przeczytanych nowellach, zaczętych robótkach, o kwiatach, strojach i drobnych ploteczkach sąsiedzkich. Taki lekki ton wesołości i rozbawienia panował wśród młodzieży, że nie zwrócono uwagi na niezwykłe przygnębienie ciotki i Mortona.

— A teraz, ciotuchno, oprowadź mnie, proszę, po ogrodach i cieplarniach — pieszczotliwie prosiła Iza, gdy wstali od stołu. — Postanowiłam sobie przegawędzić z tobą rozkosznie całe popołudnie i wrócić do domu dopiero na czas, aby podać papie herbatę.

— Służyłabym ci z największą przyjemnością, moje drogie dziecko, ale dzisiaj nie mogę na żaden sposób — tłómaczyła się ciotka. — Muszę w bardzo pilnym interesie jechać do Highclere; zostawię cię więc z mojemi dziewczętami i Mortonem, który będzie uszczęśliwiony ze sposobności oprowadzenia cię po cieplarniach, choć obecnie nie zawierają one nic tak bardzo ciekawego.

— Interes pilny w Highclere!... — zawołała Tina. A to coś nadzwyczajnego! Cóż to może być za interes? Mam nadzieję, że nie jedziesz odwiedzić w więzieniu tego strasznego człowieka, aby go wysłuchać katechizmu i nauczyć śpiewać psalmów. Tybyś zdolna była to zrobić!

— Nie, moja droga; nie jadę do więzienia.

— Za te i wszystkie Twoje łaski, dziękuję Ci, Boże.. — zaczęła Tina, jakby odmawiała modlitwę po obiedzie.

Potem ramię swe zarzuciła dokoła smukłej kibici Izy i przywłaszczyła ją sobie na resztę popołudnia, dozwalając bratu towarzyszyć im obu do parku i cieplarni. W obecności narzeczonej, Morton zapomniał na chwilę o zmartwieniach swoich i kłopotach, spotęgowanych jeszcze niemiłemi odwiedzinami córki skazańca.

ROZDZIAŁ XV.

Miss Blake, kazawszy się zawieść do Highclere, zatrzymała się na przedmieściu starego miasteczka, przed pięknym domem, zbudowanym z czerwonej cegły, z trawnikiem i zajazdem, wysadzanym krzewami od frontu. Była to rezydencya sir Nataniela Ritherdona, potomka starego rodu, który, ożeniwszy się z jedyną córką i spadkobierczynią milionowego przemysłowca z Blackfordu, wzmocnił swoje stanowisko związkiem, którym rodzina jego pogardzała. Był to człowiek w starych już latach, nieco pompatyczny, ale dobry i bardzo popularny w okolicy. Żył on niegdyś w stosunkach najbliższej przyjaźni z Walterem Blake, to też było bardzo naturalnem, że siostra zmarłego udawała się do niego o radę w kłopocie.

Po raz pierwszy w życiu miss Blake zapytała o pana, a nie o panią domu.

— Mam prywatny interes do sir Nataniela — rzekła — Później poproszę o widzenie się z lady Ritherdon.

Wprowadzono ją niezwłocznie do biblioteki, tak okazałej, zasobnej i uroczystej jak i sam jej właściciel. Wysokie, pod sam sufit sięgające, mahoniowe półki, zastawione olbrzymiemi księgami, oprawnemi w czerwony safian, czerwone skórzane fotele, czerwony z zielonem turecki dywan, rozesłany na całej posadzce, czerwone aksamitne, ciężko zwieszające się ku ziemi zasłony u drzwi i okien, bronzowy, staroświecki zegar, ostro wydzwaniający godziny, na kominku, z którego opadała czerwona draperya, i czerwone płomienie, migocące na wypolerowanej kracie. Teka sir Nataniela, rozmiarem przypominająca ministeryalną, leżała rozłożona przed nim na biurku, srebrny, okazały kałamarz stał z boku, a sir Nataniel zatopiony w głębiach wygodnego, skórzanego fotelu, pogrążony był w drzemce.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej. Drukarnia nar. St. Maniecki i Spółka Hotel Żorża. Zarządca W. Hodak.